



PRZEWODNIK DLA
ZNIECHĘCONYCH
SPOWIEDZIĄ I MSZĄ ŚWIĘTĄ

Tomasz Pawłowski OP

Spis treści

Ostrzeżenie zamiast wstępu	3
Dlaczego unikam spowiedzi?	4
Czy księża wymyślili spowiedź?	10
Zanim przystąpimy do Sakramentu Pokuty	18
To jest najważniejsze	26
Komu może zaszkodzić stały spowiednik?	33
Rachunek sumienia	40

strzeżenie zamiast wstępu

Książki tej nie powinni brać do ręki teoretycy, a więc na przykład egzegeci, liturgiści, historycy, bo *Przewodnik* powstał na podstawie doświadczeń przeszło dwudziestoletniej praktyki duszpasterskiej. Pisany przez praktyka-amatora może zawierać szereg nieprecyzyjnych sformułowań. Został on napisany nie jako rozprawa teoretyczna, ale jako poradnik w codziennym życiu. Nie powinni go czytać również rubrycyści, gdyż go nie rozumieją; księża, bo wszystko to znają co najmniej w takim stopniu jak autor; zakonnice, ponieważ mogą się zgorszyć.

Dla kogo więc przewodnik został napisany? Autor miał po prostu przed oczyma zwykłego śmiertelnika, człowieka pogrążonego w codzienności, zabieganego, zatroskanego, zmęczonego, a przede wszystkim zniechęconego spowiedzią i mszą św. Optymalnym czytelnikiem może być ktoś, kto wiele lat temu odszedł od spowiedzi i nie chodzi na mszę św., bo go dostatecznie znudziła. A jeśli trwa w sakramencie pojednania i komunii św., to resztkami sił.

Książki nie należy traktować jako panaceum na wszelkie kryzysy duchowe. Zdaję sobie sprawę, że lektura *Przewodnika* może przynieść poczucie niedosytu. Pojawi się szereg nowych trudności i problemów. Będę wówczas wdzięczny za wszelkie sugestie, zmierzające do jego poprawienia. Nie ma nieomylnych przewodników; wszyscy ponosimy współodpowiedzialność za właściwy kierunek wspólnego wędrowania.

Autor

DLACZEGO UNIKAM SPOWIEDZI?

Odpowiedź na to pytanie nie może być jednoznaczna, samo bowiem zjawisko odchodzenia od sakramentu pokuty jest skomplikowane i nie występuje powszechnie. Przy spowiedziach, odbywanych przed ślubem, coraz częściej obserwuje się fakty powrotu do sakramentu po wielu latach zaniedbania. Wyczuwa się w większości wypadków niepokojący motyw „powrotu”. Jest nim presja środków administracyjnych w postaci zdobycia podpisu na świadectwie odbycia spowiedzi, warunkującym dalszą procedurę ślubną. Jednakże oprócz procesu zmniejszenia częstotliwości spowiedzi, zwłaszcza wśród młodzieży i inteligencji, spotyka się ludzi - i to niekoniecznie w wieku „balzakowskim” - korzystających systematycznie i świadomie z sakramentu pojednania. Dla nich spowiedź jest źródłem dynamizmu wewnętrznego.

W ankietach, przeprowadzonych przeze mnie w wielu miastach naszego kraju, w ciągu ostatnich lat, wśród młodzieży szkół średnich, studentów oraz absolwentów wyższych uczelni, pytanie o przyczyny „ucieczki” od spowiedzi było zawsze żywo komentowane. Budziło ono kontrowersje. U wielu młodych, żyjących w epoce pragmatyzmu, dążenie do uzyskania jak największej skuteczności w działaniu wpłynęło na krytyczną ocenę sakramentów. Większość młodzieży, z którą się stykałem, wartościowała sakrament pojednania w kategoriach nieomal ekonomicznych: „skuteczny - nieskuteczny”. A ponieważ zdaniem wielu sakrament ten działał nieefektywnie, dlatego stracił dla nich sens egzystencjalny. Ocena nieefektywności wyrażona zostaje w popularnym powiedzeniu: „po co się spowiadać, jak się nic nie zmienia?” albo: „dlaczego mam powtarzać na spowiedzi stale te same grzechy?”

Mentalność współczesna jest również źródłem drugiego z kolei, jeśli chodzi o częstotliwość występowania, oporu wobec spowiedzi. W atmosferze dążenia do uzyskania maksymalnej wolności osobistej, powszechnej obawy przed zagrożeniem niezależności, samodzielności, szczególną trudność sprawia konieczność przyjęcia w sakramencie pokuty pośrednika: spowiednika. Trudno dzisiaj ugiąć się przed Bogiem. Może znacznie trudniej przed drugim człowiekiem. Zwłaszcza iż ten drugi nie zawsze jest "na poziomie", prezentując niekiedy niezbyt wysoki stopień inteligencji, a nawet kultury osobistej. W czasie spowiedzi tworzy się napięcie. Z jednej strony: zrozumiałe wstyd i lęk u wyznającego, z drugiej: przykra konieczność osądzenia, oceny winy penitenta przez spowiednika. Zarzuty wobec księży „odstraszających” były formułowane w kierunku dwóch ekstremów: zbyt pasywność albo nadmierna aktywność spowiedników - obydwie drażnią i niepokoją. Zdaniem młodych największą przeszkodą u spowiednika jest nie jego skłonność do ingerencji, lecz „nijakość”. Kapłan wydaje się często schematyczny, wręcz banalny. Aplikuje z góry przygotowane pobożne frazesy, nie wczuwając się w konkretną, niepowtarzalną sytuację. Rzadko spotyka się, na co się uskarżają zwłaszcza absolwenci wyższych uczelni, umiejętnego doradcę, „ojca duchowego” z prawdziwego zdarzenia. Spowiednik przeciążony niekiedy zbyt wieloma funkcjami, naciskany

psychicznie przez wydłużoną kolejkę „pierwszopiątkowców”, zaczyna „załatwiać” penitentów zbyt pośpiesznie, a nawet nerwowo.

A straty są nie do odrobienia. Penitenci potraktowani zbyt agresywnie nie tylko unikają spowiedzi, ale wracają do niej dopiero po kilku lub kilkunastu latach przerwy, a czasami, niestety, nigdy. Do atmosfery nerwowości, a nawet wybuchowości nigdy by nie doszło, gdyby spowiednik mógł widzieć drugiego człowieka, tymczasem przez kratki konfesjonału dostrzega jedynie zarys postaci, sylwetkę. Patrząc w oczy szukające ratunku, miłosierdzia, na pewno opanowałby swój (niekiedy i słuszny) wybuch. Brak wzajemnej widoczności nie ułatwia rozegrania sytuacji konfliktowych, utrudnia dialog. Ankietowani, zrażeni niekomunikatywnością, często szukają spowiedzi poza konfesjonalem. Po wielu latach przerwy, kryzysu, załamania -- odrodzenie następuje w spowiedzi, która przypomina niekiedy rozmowę przyjaciół. Odbywa się ona otwarcie, „w cztery oczy”. W takiej atmosferze o ile łatwiej jest kapłanowi pomagać penitentowi, ukierunkować drugiego człowieka, nie potrzebuje on odgadywać reakcji penitenta, widzi, wyczuwa swego brata.

Konfesjonał został wprowadzony nie tak dawno, a wszystkie racje, przemawiające za ochronnym „osłonięciem” spowiednika przed ewentualnymi pokusami, grożącymi mu ze strony płci pięknej, wydają się dzisiaj zbyt sztuczne i przesadne. We współczesnym klimacie bezpośredniości, w atmosferze ruchliwości wczasowo-turystycznej, wobec zanikania barier opinii społecznej, powstało znacznie więcej możliwości pokus, bardziej atrakcyjnych i łatwiejszych do akceptacji, aniżeli w ciemnym pudle konfesjonału. Wszystko to nie oznacza jednak tendencji do rewolucyjnego „obalenia” konfesjonału. Trzeba bowiem pamiętać, że zanik anonimowości utrudnia wielu ludziom samo wyznanie winy. Przez wyeksponowanie bezpośredniej obecności spowiednika zacierają się, zmniejsza się świadomość istotnego przy spowiedzi kontaktu z samym Bogiem.

Powracając do drugiego ekstremu - nadmiernej aktywności spowiednika, wyraża się ona w nieprzyjemnej „wścibskości”. Pomimo wyraźnych instrukcji i zakazów najwyższych władz kościelnych penitent spotyka się niekiedy ze zbyt natrętnymi szczegółowymi pytaniami, zwłaszcza z krępującego na ogół zakresu spraw seksualnych (oczywiście ze strony penitenta konieczna jest szczerść, odważne wyznanie win - również z tej dziedziny, gdyż wyznanie wszystkich grzechów ciężkich jest warunkiem otrzymania rozgrzeszenia i związanego z nim Bożego przebaczenia). Brak delikatności może być skutkiem źle pojętej gorliwości, płynącej z fałszywego przewartościowania przykazania szóstego na pierwsze. Niepokojące są głosy kobiet, zrażonych do spowiedzi przez dziwnie lekceważący stosunek spowiednika do samej instytucji małżeństwa i nieomal pogardę dla rodzaju żeńskiego. Na całe szczęście są to wypadki odosobnione, świadczące o niewłaściwym zepchnięciu do podświadomości przez człowieka żyjącego w celibacie problematyki płci.

Trzecia kategoria zarzutów wobec spowiedzi w ankiecie była mniej sprecyzowana. O ile problem skuteczności sakramentu i błędy kapłanów zostały jasno określone, o tyle następne wypowiedzi krytyczne formułowano mniej konkretnie. Wyczuwa się, że „młodzi gniewni” ostrze krytyki kierowali przeciwko temu, co trudne było dla nich do nazwania, a co można by ująć jako błędy formacji w katechezie, mającej przygotować do przyjęcia sakramentów świętych. W kształtowaniu świadomości penitentów centralnym problemem jest pojęcie samego grzechu. Nastąpiło tu zbyt podkreślenie aspektu jurydycznego.

Pamiętamy katechizmową definicję grzechu: że jest to „świadome i dobrowolne przekroczenie przykazania Boskiego lub kościelnego”. W sformułowaniu „przekraczać normę prawną” uderza mentalność prawnika, układającego kodeksy, grożącego sankcjami. Nie mam nic przeciwko ludziom spod znaku paragrafu karnego. Ich orzeczenia są precyzyjne, funkcjonalne, chociażby przykładowo sklasyfikowanie grzechu ciężkiego jako naruszenie przykazania w "materii ważnej", a grzechu lekkiego wówczas, gdy sprawę można ocenić jako mniej ważną. Można długo i szeroko dyskutować, co oznacza „materia ważna”, a w konkretnym wypadku, gdzie leży granica „lekkości” grzechu, czy już jest „ciężki”, czy jeszcze nie. Trzeba jednak przyznać, iż w większości wypadków w układzie zdrowego i realnego myślenia, poddanego światłu Ducha Świętego, definicje powyższe sprawdziły swą przydatność. Prawo jednak nie wystarcza w życiu, jest ono zbyt jednostronne, powierzchowne - życie jest silniejsze. Tyle razy, tylu ludzi przekracza przepisy np. ruchu drogowego i często nic się nie dzieje. Owszem, „sypią się” mandaty, zapełniają się sale szpitalne i kostnice ludźmi łamiącymi przepisy ruchu, ale w rezultacie... gdy się spieszymy, znowu wkraczamy na jezdnię przy czerwonym świetle. Ilu ludzi łamie groźniejsze przepisy, paragrafy i... śpi spokojnie.

Aby coś się zmieniło w tym „przekraczaniu”, przynajmniej na terenie prawa moralnego, należy podkreślać, jak to już uczynił Piet Schoonenberg SJ, że prawo Boże nie jest jedynie zespołem norm jurydycznych, ale jest pewną rzeczywistością bytową, stojącą u ich podłoża. Grzech zatem nie jest przede wszystkim i jedynie przekroczeniem normy moralnej, ale „naruszeniem” struktury ontycznej. Nie ma grzechu, który byłby tylko „obrazą Boga”, bez negatywnych skutków w porządku istnienia. Każdy grzech powoduje uszkodzenie więzi, łączących człowieka z innymi ludźmi i otaczającym go środowiskiem. Często ludzie krytyczni wobec sakramentu pokuty pytają się: „po co ten spowiednik-ksiądz, czy nie można bezpośrednio z Bogiem?” Przeakcentowano grzech w wymiarze indywidualnym. Podkreślając akcent społeczny grzechu, można niejako równolegle uwydatnić znaczenie funkcji pośrednika - kapłana jako przedstawiciela wspólnoty, Kościoła. Zrozumiałe i słuszne jest stanowisko jakiejś społeczności, zagrożonej destruktywnym oddziaływaniem zła, że przez swego przedstawiciela domaga się od „niszczyciela” rekompensaty, przynajmniej w formie wyznania winy. W zamian za to kapłan w imieniu Boga i wspólnoty - Kościoła - rozgrzesza, przyjmuje z powrotem do społeczności wiernych. Na tym tle wydaje się pewnym anachronizmem wyodrębnianie „grzechów przeciw sobie” od „grzechów przeciwko bliźniemu”. Tak jak przykazanie miłości Boga jest organicznie zespolone z nakazem miłości bliźniego, tak każdy czyn przeciw sobie jest czynem wobec Boga i drugiego człowieka. Ścisłą współzależność przypominają słowa Chrystusa: „Wszystko, czego nie uczyniliście jednemu z tych braci najmniejszych, tegoście i Mnie nie uczynili” (Mt 25,45).

Przy problematyce grzechu nie należy również pomijać faktu, że w nomenklaturze jurydycznej zgubiono gdzieś po drodze samego... Boga. Mówi się co prawda w definicji o „przekroczeniu przykazania Boskiego”, ale praktycznie przy spowiedzi, wyznając winę, stwierdza się to zbyt mało dobitnie wobec Boga. Mówi się jakoś bezosobowo, nijako do nieokreślonego, mglistego Adresata. Brakuje nam gorącego, autentycznego krzyku bólu króla Dawida z Psalmu 51: „Przeciwko Tobie samemu zgrzeszyłem”. Pozbawione szczerego, osobistego zwrotu do Boga spowiedzi stają się schematyczne, zdepersonalizowane i powoli następuje proces odchodzenia od tego, co może być źródłem życia.

Jurydyzm powoduje często stępienie świadomości grozy grzechu ciężkiego. Być może nasze spowiedzi nabrałyby innego charakteru, gdybyśmy zrozumieli chociaż w pewnym stopniu, że suche sformułowanie prawnicze oznacza to, co św. Tomasz pisał w swoich traktatach o *laesio caritatis*. To znaczy, że grzech jest „zranieniem miłości”, miłości Dobrego Pasterza, Ojca oczekującego na powrót syna, miłości jedyne go autentycznego Przyjaciela. Może kogoś już nie wzruszają rany. Nadmiar krwawiących ran na całym świecie prowadzi do znieczulenia. Zranienie miłości jest uszkodzeniem czegoś istotnego, sparaliżowaniem samego życia. Życ w chrześcijaństwie to przecież nic innego niż kochać!

Problem grzechu ma jeszcze inny aspekt. Coraz więcej ludzi nie przystępuje do spowiedzi ze względu na konflikt z normą Kościoła. Nie uznają oni za sprawę grzechu czy winy tego, co Kościół określa jako zło. Najczęściej konflikt ten ma miejsce w problematyce moralności seksualnej. Coraz liczniejsze są pary młodych, którym trudno wytłumaczyć niewłaściwość współżycia przedmałżeńskiego. Uważają oni siebie za pełnoprawnych partnerów ze względu na głęboką, autentyczną miłość, a nie tylko przelotną sympatię uczuciową. Dla nich stosunek seksualny jest dopełnieniem zjednoczenia psychicznego, tym bardziej, że już wyrazili sobie nieodwołalną decyzję zawarcia małżeństwa. W tym stanie trudno im przystąpić do sakramentu pokuty, musieliby bowiem podjąć decyzję przerwania współżycia, czego sensowności absolutnie nie mogą czy też nie chcą zrozumieć. Pojawia się tutaj problem nie zawsze skutecznego nauczania moralnego Kościoła. Można przypuszczać, iż błąd leży znowu w nadmiernie jurydycznej argumentacji. Zbyt silnie podkreśla się prawo lub brak uprawnienia do współżycia seksualnego. Za mało akcentuje się samą strukturę egzystencjalną spotkania człowieka z człowiekiem i konsekwencji, wynikających z tego związku. W ostatnich latach próbuje się zaradzić temu zjawisku obowiązkowymi kursami przedmałżeńskimi. W dużej mierze, zwłaszcza jeśli chodzi o zbliżenie przedmałżeńskie, jest to oddziaływanie zbyt późne. Większość par, biorących udział w kursach przedmałżeńskich, robi wrażenie takich, którym sprawy współżycia nie są obce. Nie należy do wyjątków sytuacja, w której wzniosłych nauk o czystości przedmałżeńskiej słucha dziewczyna w szóstym czy w siódmym miesiącu ciąży. Kształtowanie postaw w zakresie zagadnień seksualnych należałoby rozpoczynać znacznie wcześniej, już na terenie szkoły podstawowej. Równolegle powinna być prowadzona akcja uświadamiania przez szkołę i katechezę. Nie należy zasłaniać się argumentem zbyt wczesnego wprowadzania w sferę zagadnień niezmiernie delikatnych. Uświadomienie nadejdzie i tak... i to z najgorszej strony, bo z ulicy. Mądra katecheza, zastosowana w odpowiednim momencie, może zmniejszyć w przyszłości opory wobec spowiedzi.

W nauczaniu sam proces „odpuszczenia grzechów” został potraktowany zbyt negatywnie. „Odpuszczenie” jest nowym stworzeniem tego, co przez grzech zostało uszkodzone. „Stworzenie” - oznacza więcej niż powrót do pierwotnego stanu przed grzechem. Przebaczenie grzechu jest to stworzenie nowej szansy dalszego rozwoju, który został przez dokonane zło zahamowany. Zwrócenie uwagi na aspekty twórczości, możliwości rozwoju przez sakrament pokuty, może stanowić ważny element w likwidowaniu niesłusznych uprzedzeń.

W procesie formacyjnym w katechezie mocno zaniedbaną strefą oddziaływania są tzw. „rachunki sumienia”. Należy przynajmniej zasygnalizować szkody, jakie poczyniły przy spowiedzi niewłaściwe rachunki sumienia. Nie chodzi tutaj jedynie o to, że ludzie dorośli spowiadają się

z dziecinnych grzechów: „nie odmawiałem paciorka”, „byłem nieposłuszny”, coś innego jest tu znacznie ważniejsze. Rachunki sumienia, zawierające nawet jak najsluszniejsze sformułowania, przyzwyczajają do schematyzmu w życiu religijnym. Po pewnym czasie człowiek, posługujący się stereotypem, traci samodzielność, a co gorzej: spontaniczność. Stosowanie schematów spłyca, stopniowo prowadzi do zniechęcenia. Spowiedź „zalicza się” jak wiele banalnych czynności. Traci sens działania twórczego, ożywiającego.

Katecheza, wprowadzająca we właściwe przyjmowanie sakramentów, jest niezwykle trudna. Powinna oscylować pomiędzy dwoma niebezpiecznymi ekstremami: przesadnym wkładem, rolą współpracy człowieka a pewną magicznością. Zwykle groźniejszy i częściej spotykany jest ten drugi błąd, kładący nacisk na automatyzm działania sakramentów. U wychowanków tworzy się mit „cudownej skuteczności” spowiedzi św. Wystarczy się tylko wypowiadać, a „wszystko będzie w porządku”. Gorzej, gdy w życiu po spowiedzi świętej, po takiej spowiedzi, „nie wszystko jest w porządku”, ale dzieje się wręcz coraz gorzej. Zawiedzione nadzieje, frustracja powodują zaniechanie na wiele lat albo na zawsze „magicznych znaków” sakramentalnych. Jeszcze gorzej, gdy penitent nie współpracujący z działaniem sakramentu jest bezkrytyczny. Stale przyjmuje, nic nie dając, powiększa szereg bezwartościowych „wiernych”. Ci właśnie ludzie, nadużywający sakramentu pokuty, oddziałują negatywnie na otoczenie. Środowisko ocenia krytycznie mierny poziom moralny penitentów-dewotów i stwierdzając „bezskuteczność” sakramentów, samo ulega zniechęceniu.

Wspomniana kategoria penitentów-dewotów należy do ludzi o małym poczuciu odpowiedzialności za własne czyny. Paradoksem jest zjawisko, występujące znacznie rzadziej - ludzie o wybitnie rozwiniętej odpowiedzialności negują wartość spowiedzi. W ich przekonaniu sakrament pokuty stwarza sytuacje nieodpowiedzialne. Wystarczy bowiem wyrazić żal, a wszystko ulega naprawie. Sakrament likwiduje odpowiedzialność za czyny. Ludzie myślący w ten sposób nie widzą miejsca dla siebie przy konfesjonale. Mając rozbudzone poczucie odpowiedzialności, nie mogą przejść do porządku dziennego nad tym płytkim, powierzchownym załatwieniem sprawy. Nasuwa się tu problem stosowania pokut nieproporcjonalnych, nieadekwatnych w stosunku do czynu. Spowiednik często bez zastanowienia rzuca banalny nakaz: „a za pokutę odmów sobie...”. Odmawiają ludzie „paciorki”, litanie, a tymczasem zapomina się o konieczności zadośćuczynienia.

W końcu do przemyślenia pozostaje sytuacja, która doprowadza mnie przy spowiedzi do irytacji, a nawet - przyznaję się do winy, bijąc się tym razem we własne piersi - niestety do gniewnej ironii. Spowiadając spotykam ludzi powracających z daleka, po wielu latach. Istnieje radość w niebie i na ziemi z powodu jednego pokutnika, wyrażającego żal. To na pewno i przede wszystkim. Ale prócz tego chciałbym niezmiernie doprowadzić mego brata spoza drugiej strony „kratek” do momentu refleksji. Tylko po to, aby analiza powstrzymała go od zła na przyszłość. Na moje pytanie: „Bracie, dlaczego tak długo nie byłeś u spowiedzi?”, otrzymuję jakże często i to od ludzi inteligentnych odpowiedź: „A bo tak się złożyło”. Nieco ironicznie pytam się, usiłuję pobudzić do myślenia: „A kto ma wpływ na to, że się tak złożyło: teściowa, Marsjanie czy Ty sam?” Nierzadko odnoszę wrażenie, że moi penitenci nadal nie rozumieją, czego chce od nich ten dziwny spowiednik.

Zadaniem tego rozdziału było właśnie postawienie pytania: „Dlaczego nie ktoś, ale właśnie TY unikasz spowiedzi?” Jeśli, Drogi Czytelniku, nie odnalazłeś siebie w przyczynach wyliczonych przeze

mnie, szukaj dalej, głębiej. Tylko, proszę, nie mów nigdy bezosobowo, „że tak się złożyło”, bo jesteś osobą i na pewno człowiekiem i mam nadzieję... myślącym, to znaczy... poszukującym.

CZY KSIĘŻA WYMYŚLILI SPOWIEDŹ?

Kiedy człowiek po raz pierwszy się spowiadał? Nie wiem, czy kiedykolwiek ktoś potrafi odpowiedzieć na to pytanie. Przed Jezusem Chrystusem Izraelici obchodzili wielki Dzień Pojednania (*jom hakkipurim*), który po *Spowiedzi Egipcjanina* może być dla nas jakimś śladem w prehistorii sakramentu pokuty. Szczegółowy opis ceremonii liturgicznych Dnia Pojednania znajdujemy w Księdze Kapłańskiej (16,3-34; 23,26-32; 25,9) oraz w Księdze Liczb (29,7-11). Żydzi obchodzili swój Dzień Pojednania raz w roku, dziesiątego dnia siódmego miesiąca, zwanego Tiszri. Każdy Izraelita miał obowiązek stawienia się w tym dniu w świątyni po to, aby wziąć udział w świętym zgromadzeniu. Obrzędy w świątyni rozpoczynały się od zabiegu higienicznego: arcykapłan obmywał się w wodzie i ubrany w prosty lniany strój zwykłego kapłana wchodził na dziedziniec świątyni. Niedaleko wejścia do przybytku wkładał on ręce na cielca, przeznaczonego na ofiarę za grzechy kapłanów, oraz barana na całopalenie. Następnie przyprowadzano dwa kozły i barana na całopalenie za lud. Teraz odbywało się losowanie. Jednego kozła losowano dla Jahwe, a drugiego dla Azazela. Arcykapłan zabijał cielca i kozła i ich krwią skrapiał Arkę Przymierza. Z rzezi rytualnej ocalał jeden z kozłów. Miał on za chwilę odegrać specjalną rolę. Być może, iż od niego pochodzi wyrażenie „kozył ofiarny”. Arcykapłan mianowicie, po dokonaniu oczyszczenia świątyni, kładł obydwie ręce na kozła, przeznaczonego losiem dla Azazela, wyznawał nad nim wszystkie grzechy synów Izraela i wypędzał go na pustynię. W końcu palono poza miastem cielca za arcykapłana i kapłanów oraz kozła za lud. Na tym kończyły się ceremonie. Dzień Pojednania wyróżniał się spośród wszystkich świąt izraelskich tym właśnie charakterem pokutnym. Inne dni uroczyste były obchodzone w nastroju radości i wesela. Powagi Dniowi Pojednania nadawał ścisły post od wieczora dziewiątego Tiszri do wieczora następnego dnia. Przekroczenie tego przepisu było sankcjonowane karą śmierci, podobnie jak niezachowanie w tym dniu spoczynku szabatowego. Post Dnia Pojednania był jedynym postem w ciągu całego roku. Nie stanowił on jednak istoty oczyszczenia. Krew ofiarnych zwierząt miała właściwą moc oczyszczenia świątyni, kapłanów i ludu. Tę zdolność uzyskiwała krew dopiero z chwilą pokropienia nią Arki Przymierza w miejscu najświętszym. Należy pamiętać, iż tylko jedyny raz w roku, właśnie w *jom hakkipurim* następowało wniesienie krwi do miejsca najświętszego i pokropienie Arki Przymierza. I to nie przez byle jakiego kapłana, ale przez najwyższego arcykapłana. Jakkolwiek arcykapłanowi przypisuje się wyjątkową rolę w ceremoniach Dnia Pojednania, to jednak nie był on pośrednikiem doskonałym, miał bowiem grzechy osobiste, za które musiał przecież składać ofiary przebłagalne. Chociaż dzień pokuty Izraela był efektywny: „Tego dnia będzie pojednanie wasze i oczyszczenie od wszystkich grzechów waszych” (Kpł 16,30), to jednak wyraźnie widać, że dopiero Chrystus reprezentował pełnię doskonałego kapłaństwa, wyzwalającego nas ze zła własną, boską mocą.

Historię Nowego Testamentu rozpoczyna Chrystus Pan stwierdzeniem, że „nadszedł już czas - zbliża się Królestwo Boże” (Mk 1,15). I od razu rzuca nakaz: „Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię”. Istnieje ścisły związek zbliżania się Królestwa Bożego i nawrócenia. Do Królestwa Bożego prowadzi jedynie *metanoia*, czyli wewnętrzna, najgłębsza przemiana całego człowieka. Polega

ona na nowym sposobie oceniania rzeczywistości. Człowiek poruszony miłością Chrystusa zmienia dotychczasowy sposób myślenia, planowania i realizowania własnego życia. Jednym z istotnych celów przyjscia Jezusa na swiat jest wezwanie grzeszników do nawrócenia. Chrystus obiecuje odpuszczenie grzechów: „wszystkie grzechy i bluźnierstwa, których by się ludzie dopuścili, będą im odpuszczone” (Mk 3,28). Jezus dysponuje władzą odpuszczania grzechów i przekazuje tę moc swojemu Kościołowi: „...wszystko, co zwiążecie na ziemi, będzie związane w niebie, a co rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane w niebie” (Mt 18,18). I podobne słowa: „którym odpuscicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są im zatrzymane” (J 20,23).

W ten sposób głoszenie pokuty jako drogi prowadzącej do odpuszczenia grzechów stało się fundamentalną funkcją Apostołów i Kościoła powszechnego wszystkich wieków: „oni więc wyszli i wzywali do nawrócenia” (Mk 6,12). Niekiedy wyobrażamy sobie okres po śmierci Apostołów, czyli pierwsze wieki chrześcijaństwa zbyt jednostronnie w jasnych, różowych barwach. Tymczasem w tej społeczności chrześcijańskiej miały miejsce bardzo ciężkie wykroczenia: grzechy seksualne, pijaństwo i pycha. Doszło nawet do buntu gminy korynckiej przeciw prawowitym przełożonym. Anonimowy autor tak zwanego *Drugiego Listu Klemensa Rzymskiego do Koryntian* z pierwszej połowy II wieku wyraża się nader dosadnie, określając wspólnotę wierzących jako „jaskinię zbójców”. Istnieje jednak możliwość wyjścia z trudnego impasu. Św. Klemens Rzymski (papież w latach 92-101) w ten sposób zachęca do zmiany stanowiska zbuntowanych Koryntian: „Uważnie patrzmy na Krew Chrystusa, poznajmy, jak jest ona cenna dla Boga Ojca. Krew ta przelana za nasze zbawienie, dała całemu światu łaskę pokuty. Przebiegnijmy naszą myślą wszystkie wieki świata i nauczmy się, że we wszystkich pokoleniach Bóg dawał możliwość pokuty tym, którzy chcieli do Niego powrócić” (7,4-5).

Podobną sugestię wyraża autor *Drugiego Listu*: „Dopóki żyjemy na ziemi, czynmy pokutę. Jesteśmy gliną w ręku garncarza. Kiedy garncarz ulepi garnek, a ten straci w jego ręku swój kształt albo połamie się, garncarz lepi go na nowo: kiedy bowiem włoży go do ognia, już nie będzie go mógł zmienić. Tak i my, dopóki jesteśmy na tym świecie, z całego serca czynmy pokutę za grzechy, które popełniliśmy w ciele, abyśmy zostali zbawieni przez Pana, gdy mamy czas na pokutę. Kiedy bowiem odejdziemy z tego świata, nie będziemy już mogli wyznać grzechów ani czynić pokuty” (8,1-3).

W jaki sposób grzesznik mógł pojednać się z Bogiem? Przede wszystkim człowiek, dokonujący zwrotu wewnętrznego, powinien rozpocząć autentyczną pokutę. O tym wspomina *Drugi List*: „Dopóki mamy czas, w którym możemy zostać uleczeni, oddajmy się Bogu Lekarzowi i dajmy Mu zadośćuczynienie. Jakże? Pokutę ze szczerego serca” (9,7-8).

Poza pokutą konieczne było również pewne wyznanie grzechów. O tym wspominał św. Jan w swym liście: „Jeżeli wyznajemy nasze grzechy, Bóg jako wierny i sprawiedliwy odpuści je nam i oczyści nas z wszelkiej nieprawości” (1 J 1,9). Nie wystarczało jednak wyjawienie grzechów wobec Boga, należało również wyznać winy przed ludźmi, we wspólnocie liturgicznej. *Didache* czyli *Nauka Dwunastu Apostołów* -- dokument z Syrii z końca I wieku - stwierdza to wyraźnie: „W zgromadzeniu wyznasz swoje grzechy i nie przystąpisz nigdy do modlitwy z nieczystym sumieniem” (4,14)... „Schodząc się razem w dniu Pańskim, łamcie chleb i składajcie dziękczynienie, wyznawszy uprzednio wasze grzechy, aby wasza ofiara była czysta” (14,1).

W pojednaniu grzeszników bierze udział przełożony wspólnoty: biskup w otoczeniu swoich kapłanów. Św. Klemens Rzymski pisze do buntowników w Koryncie: „Wy przeto, którzy daliście powód do buntu, posłusznie poddajcie się prezbiterom i przyjmijcie naganę ku pokucie, zginając kolana waszych serc. Nauczcie się słuchać, wyrzekając się pychy i aroganctwa swego języka. Lepiej bowiem dla was pozostać maluczkimi i cieszyć się dobrą sławą w owczarni Chrystusa, niż zbyt jaśniejąc, być pozbawionym jej nadziei” (*List do Koryntian* 57,1).

Poza pokutą, która połączona była z interwencją biskupa, stosowano inne pozasakramentalne sposoby gładzenia grzechów. Do nich należały: modlitwa, post i jałmużna. *Didache* określa jałmużnę jako „okup za grzechy” (4,6). O wszystkich trzech możliwościach pokuty czytamy w *Drugim Liście do Koryntian*: „Dobrą jest rzeczą jałmużna jako pokuta za grzech; lepszy jest post od modlitwy, jałmużna zaś lepsza od obydwóch: miłość bowiem zakrywa wiele grzechów. Modlitwa zaś, pochodząca z czystego sumienia, wyzwala od śmierci. Szczęśliwy człowiek, który okazuje się w tych sprawach doskonały, jałmużna bowiem dźwiga z grzechów” (16,4).

Poza *Didache* praktykę pokutną chrześcijaństwa pierwszych wieków kształtował *Pasterz Hermasa*. Autor tego dzieła według tradycji miał być bratem papieża Piusa I (prawdopodobne lata pontyfikatu: 140-155). *Pasterz* należy do literatury o charakterze apokaliptycznym, wzywa bowiem grzeszników do pokuty wobec zbliżającego się końca świata. Wszyscy grzesznicy mają szansę podjęcia pokuty. Niezmiernie charakterystyczne jest, iż Hermas stawia zasadę tylko jednorazowego podjęcia pokuty za grzechy popełnione po chrzcie. Autor *Pasterza* nie kieruje się w tym względzie zasadami teologicznymi, jest raczej przede wszystkim pedagogiem, chce uchronić chrześcijan przed zbyt łatwością popełniania grzechów w przekonaniu, że znowu otrzymają przebaczenie. Teoria jednorazowej pokuty mogła - między innymi czynnikami - mieć wpływ na ukształtowanie wysokiego poziomu moralnego chrześcijan pierwszych stuleci. Hermas stawia rygorystyczne wymagania również w stosunku do tych, którzy popełnili cudzołóstwo i bałwochwalstwo. Po wypełnieniu jednak odpowiedniej pokuty grzesznicy mają szansę powrotu do Kościoła.

Podobne stanowisko w sprawie jednorazowej pokuty zajął pisarz kościelny, Tertulian (ok. 220 roku). Wierni - jego zdaniem - po raz pierwszy otrzymali Boże przebaczenie w sakramencie chrztu. Przez grzech następuje utrata udzielonego daru. Przywrócenie łaski przez pokutę jest jeszcze większym dobrodziejstwem niż udzielenie jej po raz pierwszy w chrzcie. Powtarzanie pokuty, według Tertuliana, nie ma sensu, ponieważ grzesznik-recydywista okazuje, że na próżno otrzymuje łaskę Bożą i brak mu wewnętrznej dyspozycji koniecznej do skutecznego przyjęcia przebaczenia.

W związku z niepowtarzalną pokutą wspomniany pisarz mówi o „pracowitym doświadczaniu siebie”. Winno ono być dokonane nie tylko wewnętrznie, ale również wyrażone słowami i poparte czynem, jakim jest *exomologesis* - przyznanie się do grzechów. *Exomologesis* obejmuje szereg czynności: modlitwę w postawie leżenia krzyżem, noszenie włosiennicy, posty, upadanie do stóp kapłanów, błaganie o wstawiennictwo ludzi, którzy przeżyli prześladowanie Chrystusa itp. Od roku 206 Tertulian przeszedł na pozycje montanizmu, stał się rygorystą. W końcowym etapie życia rozróżnia on grzechy „mniejsze”, „lekkie”, które mogą być odpuszczone przez Kościół oraz grzechy „ciężkie”, „śmiertelne”, „poważne”, „główne” - nieodpuszczalne. Ludzie, popełniający cudzołóstwo, kazirodztwo, bałwochwalstwo, zabójstwo, mogą wprawdzie pokutować publicznie z nadzieją

uzyskania przebaczenia u Boga, nie mogą jednak otrzymać pojednania z Kościołem. W ten sposób Tertulian nie tylko odszedł od swej poprzedniej doktryny, ale i odłączył się od jedności z Kościołem, który nigdy nie akceptował takich przekonań.

Problematyka pokuty nabiera nowego kolorytu w połowie III wieku na tle prześladowań chrześcijan, zainicjowanych przez rzymskiego cesarza Decjusza w roku 250. Wobec odstępców od wiary w czasie prześladowań, zaznaczyła się wyraźna różnica stanowisk między rygoryzmem sekty Nowacjana a umiarkowanym poglądem papieża Korneliusza (251-253) oraz św. Cypriana, biskupa Kartaginy (248-258). Św. Cyprian zdecydowanie odciął się od rygoryzmu nowacjan, a równocześnie sprzeciwiał się zbyt łagodnemu traktowaniu odstępców, domagając się od nich wypełnienia odpowiedniej publicznej pokuty. Synody w Kartaginie i Rzymie w roku 251 postanowiły, aby tzw. *libellatici* (chrześcijanie, którzy wpisali się na publiczne listy osób posłusznych nakazowi cesarskiemu) byli dopuszczani do pokuty, a po jej wykonaniu - pojednani. *Sacrificati* (ci, którzy złożyli ofiarę przed posągami pogańskiego bóstwa) mogli otrzymać przebaczenie jedynie wobec zbliżającej się śmierci. Pojednanie - zdaniem św. Cypriana - może nastąpić po wypełnieniu odpowiedniej pokuty. Kapłani oznaczają czas pokuty oraz czuwają nad jej należyтым wykonaniem. Akt pojednania następował przez modlitwę oraz włożenie rąk biskupa i prezbiterów. Św. Cyprian, oprócz pokuty publicznej i sakramentalnej dopuszczalnej tylko raz w życiu, zna i poleca ponadto formy pokuty prywatnej, pozasakramentalnej, likwidującej grzechy lekkie. Do tych form zalicza się zwłaszcza modlitwę, post i jałmużnę.

Następne wieki po św. Cyprianie, tzn. od IV do VI wieku, są nazywane okresem pokuty kanonicznej. Określenie to pochodzi stąd, że przepisy pokutne normowane są postanowieniami soborów i synodów oraz dekretami i instrukcjami papieskimi - kanonami. W tym okresie Kościół nie jest już prześladowany i działa w klimacie wolności. Kościół rozrasta się ilościowo, co nie zawsze idzie w parze z rozwojem jakościowym. Pokuta kościelna publiczna w tym okresie jest wymagana za grzechy ciężkie. Św. Augustyn (ok. 430) uważa, iż pokuty publicznej wymagają ciężkie grzechy popełnione przeciwko Dziesięciu Przykazaniom. Natomiast grzechy lekkie, codzienne, wynikające ze słabości i niedoświadczenia, nie pociągają za sobą pokuty publicznej, mogą być gładzone przez dobre uczynki, post i modlitwę. Zasadę niepowtarzalności pokuty, głoszoną przez Hermasa i Tertuliana, podtrzymują pisarze tego okresu. Św. Ambroży, nawiązując do chrztu św., mówi: „podobnie jak jeden jest chrzest, tak też jedna jest pokuta, która odbywa się publicznie”. Św. Hieronim nazywa pokutę „drugą deską ratunku po rozbiciu się okrętu” (pierwszą deską ratunku jest chrzest). Św. Augustyn w następujący sposób tłumaczy sens zasady *poenitentia una*: „aby lekarstwo, które spowszedniało, stało się nieużyteczne dla chorych, będzie ono tym bardziej skuteczne dla zdrowia, im mniej będzie lekceważone”.

W okresie pokuty kanonicznej pierwszą czynnością grzesznika jest przyznanie się do grzechów przed przełożonym wspólnoty: biskupem lub prezbiterem. Jest ono zasadniczo tajne (sekretne). Świadczą o tym słowa św. Leona Wielkiego z *Listu do biskupów Kampanii* z roku 459: „Oдноśnie do pokuty, o jaką proszą wierni, nie trzeba publicznie odczytywać listy ich grzechów, ponieważ wystarczy, jeśli oni w usznej spowiedzi wyrażą swym biskupom stan swego sumienia”. Publiczne wyznanie win było dopuszczalne jedynie wyjątkowo na podstawie spontanicznej decyzji samego grzesznika. Wyznanie win przed przełożonym pociągało za sobą wstąpienie do specjalnej grupy

zwanej „stanem pokutników” (*ordo poenitentium*). Wejście do *ordo poenitentium* dokonywało się na mocy osobistej decyzji grzesznika lub jako sankcja, wynikająca z ekskomuniki w wypadku grzechu publicznego. Na temat samego wejścia do „stanu grzeszników” mówi jeden z kanonów Synodu Galilejskiego w Agde z roku 506: „Pokutujący w chwili, gdy proszą o pokutę, niechaj zgodnie z powszechnie obowiązującą zasadą otrzymają włożenie rąk biskupa i włosiennicę. Gdyby zaś nie chcieli obciąć sobie włosów i zmienić ubrania, niech zostaną oddaleni i nie będą dopuszczeni, zanim nie odbędą odpowiedniej pokuty”. Pokutnicy byli obowiązani do rezygnacji z jedzenia mięsa, do ograniczenia snu, powstrzymania się od pożycia małżeńskiego, od pełnienia służby wojskowej i wykonywania funkcji publicznych. Według ówczesnych pojęć celem publicznej pokuty nie było jedynie upokorzenie grzesznika, lecz przede wszystkim zapewnienie mu pomocy Kościoła w procesie wewnętrznej przemiany.

Pojednanie z Bogiem przez pojednanie z Kościołem odbywało się raz w roku przed Paschą. W Rzymie dniem pojednania był Wielki Czwartek. Ceremonia pojednania obejmowała przemówienie biskupa, włożenie rąk na każdego pokutnika, modlitwę o przebaczenie im grzechów. Ci, którzy pokutowali i zostali pojednani, nie mogli być dopuszczani do żadnej funkcji kościelnej i publicznej, do służby wojskowej. Muszą się ponadto powstrzymać od pożycia małżeńskiego lub nawet zawarcia małżeństwa. Słowem - powinni prowadzić życie umartwione na wzór mnichów. Przekroczenie tych nakazów było traktowane jako powrót do dawnych grzechów i narażało na wyłączenie na zawsze ze wspólnoty.

Surowość przepisów powoduje stopniowo upadek samej dyscypliny. Ludzie przestraszeni konsekwencjami pokuty odkładali pojednanie na późniejsze lata życia, traktowali pokutę jako przygotowanie do zbliżającej się śmierci. Znamienne dla ówczesnych nastrojów są słowa św. Cezarego z Arles, który przytacza czyjś protest przeciw tak trudnej pokucie: „ja służę w wojsku, mam żonę, jak więc mogę czynić pokutę?” Synody nakazują zatem wielką roztropność w nakładaniu pokuty ludziom młodym lub związanym małżeństwem. W tej sytuacji „stan pokutników” stał się instytucją gromadzącą starców, którym nie groziło już niebezpieczeństwo popełnienia wspomnianych grzechów lub którzy mogli bez trudności podjąć wszystkie konsekwencje przynależności do tego stanu również po odbyciu pokuty. Pod koniec VI wieku powstała sytuacja paradoksalna: pokuta stała się nieosiągalna dla ludzi, którzy jej najbardziej potrzebowali, tzn. dla młodych, dla małżonków.

Obok pokuty kanonicznej w pierwszych wiekach istniały dwa sposoby pojednania z Kościołem: profesja zakonna i tzw. „nawrócenie” (*conversio*). Każdy, kto wstępował do klasztoru, nawet po popełnieniu ciężkich grzechów, był zwalniany z obowiązku pokuty publicznej i dopuszczany do Eucharystii. Analogicznie postępowano z tymi, którzy pozostając w stanie świeckim, ślubowali specjalne umartwienia i doskonałą czystość. „Nawróconych” również nie obowiązywała pokuta publiczna.

Pod koniec VI wieku zaczynają się pojawiać coraz częściej wierni, którzy ilekroć popadną w grzechy, proszą kapłanów o pojednanie. Synod w Toledo w Hiszpanii (589 rok) mówi o nowym problemie w ten sposób: „Ponieważ dowiadujemy się, że ludzie w niektórych kościołach Hiszpanii nie zgodnie z kanonem, lecz w obrzydliwy sposób czynią pokutę za swoje grzechy, tak mianowicie, że ile razy zdarza im się popełnić grzech, tyle razy domagają się od kapłana pojednania. Celem

powstrzymania tak godnej potępienia zuchwałości święty synod nakazuje, aby pokuty były nadawane zgodnie z zasadą dawnych kanonów”.

Nie udało się jednak powstrzymać nowego prądu pokuty prywatnej i powtarzalnej. Ojczyzną ruchu reformatorskiego był Kościół celtycki na wyspach Irlandii i Anglii. Pokuta miała tam zawsze charakter prywatny i polegała na wyznaniu grzechów przed kapłanem oraz na odpowiednim zadośćuczynieniu, wyznaczonym przez spowiednika na podstawie specjalnych ksiąg penitencjarnych. Udzielenie rozgrzeszenia i Eucharystii następowało po wypełnieniu pokuty. Nowa forma pokuty dociera do Europy poprzez misjonarzy celtyckich. Pierwszym oficjalnym dokumentem, potwierdzającym stosowanie nowej praktyki na terenie Galii, było orzeczenie Synodu w Châlon w roku 650: „gdy zaś chodzi o pokutę, która jest lekarstwem duszy, sądzimy, iż jest ona pożyteczna dla ludzi. Wiadomo też, że ogół biskupów godzi się na to, aby pokutującym po wyznaniu grzechów nadawać pokutę”.

W epoce reformy karolińskiej w VIII i IX wieku powraca ponownie pokuta publiczna, nazywana *poenitentia sollemnis*. Synody tej epoki zalecają zasadę: pokuta publiczna za grzechy publiczne, pokuta prywatna za grzechy tajne.

W praktyce pokuty prywatnej coraz większej wagi nabiera samo wyznanie grzechów - *confessio*, uważane za czynnik zadośćuczynienia, ze względu na wiążący się z nim wstyd i upokorzenie. Następuje utożsamienie sakramentu pokuty ze spowiedzią, co przetrwało w popularnym rozumieniu pokuty aż do naszych czasów.

Ustala się obowiązek spowiedzi w pewnych regularnych odstępach czasu (np. reguła Chrodeganga z Metz z roku 760 zobowiązuje kanoników oraz biednych, utrzymywanych przez wspólnotę kościelną w Metz, do dwukrotnej spowiedzi w roku - na początku Postu i w jesieni). Rozwija się również praktyka spowiadania przed mnichami -- osobami doświadczonymi w życiu duchowym. Często spowiedź taka jest uważana za zastępczy sposób gładzenia grzechów, działający skutecznie *ex desiderio sacerdotis*, w każdym razie jako zwykły środek gładzenia grzechów lekkich. Bł. Beda Czcigodny (ok. 735) zaleca wyznawanie grzechów lekkich przed świeckimi, powołując się na słowa Listu św. Jakuba: „Wyznawajcie zatem sobie nawzajem grzechy, módlcie się jeden za drugiego, byście odzyskali zdrowie” (5,16).

IV Sobór Laterański w 1215 roku ustalił ostatecznie obowiązującą w Kościele zasadę spowiedzi jeden raz w roku i przyjmowania Eucharystii w okresie wielkanocnym.

I wreszcie po długich perypetiach historycznych dochodzimy do... konfesjonału. Pierwszą oficjalną informację o nim spotykamy w Rytuale potrydenckim papieża Piusa V z roku 1614. Rytuał ustala, że kapłan sprawujący sakrament pokuty powinien siedzieć, ubrany w komżę i fioletową stulę, w konfesjonale, oddzielonym od penitenta kratą. W momencie, gdy spowiadający się uklęknął i przeżegna się, spowiednik, jeśli to potrzebne, powinien go zapytać o stan cywilny, o datę ostatniej spowiedzi oraz w razie potrzeby przypomnieć mu podstawowe prawdy wiary. W czasie rozgrzeszenia spowiednik prawą rękę trzyma wyciągniętą w stronę penitenta. Ten gest jest skromną pozostałością

z rozbudowanego, uroczystego obrzędu pojednania, w czasie którego kapłan wkładał ręce na głowy grzeszników.

Dosyć już dat i faktów historycznych. Gdy wrócimy z okrytych kurzem wieków czcigodnej tradycji do drapieżnego pytania współczesności o udział kleru w „wymyśleniu” spowiedzi, na tle historii zobaczymy bezpodstawność takiego zarzutu. Przyznania się do popełnionego zła nie trzeba sztucznie fabrykować. Spowiedź wynika z potrzeby psychicznej człowieka. Starożytny Egipcjanin i współczesny hipis są podobni w naturalnej potrzebie oczyszczenia siebie z winy. Może nie zawsze to będzie konfesjonał. Spowiedników usiłovali zastąpić psychoanalitycy ze szkoły Freuda. Pamiętamy zbrodniarzy ludzkości, „spowiadających się” przez nagranie wyznania win na taśmę magnetofonową. Nikt chyba nie posądzi np. Eichmanna o skłonności dewocyjne, a jednak musiał on komuś powiedzieć o tym, co ciążyło mu, nie pozwalając spokojnie spać. Przekazując taśmie opis swoich zbrodniczych grzechów, ten przestępca wojenny działał wbrew podstawowemu instynktowi ratowania własnej skóry. Był na tyle inteligentny, że mógł przewidzieć, iż kompromitujące zeznania mogą się dostać w niepowołane ręce. Pomimo oporu instynktu samozachowawczego, Eichmann „wyspowiadał się” taśmie magnetofonowej. Było w nim coś silniejszego od tak mocnego instynktu. Historia notowała niejednokrotnie podobne postawy. Właśnie na podstawowej potrzebie wyznawania popełnionego zła, konieczności oczyszczenia duchowego, opierał się Chrystus - Syn Człowieczy, ustanawiając sakrament pokuty i przekazując go swemu Kościołowi. Księża zatem nic nie wymyślili, treść istotną otrzymali „w spadku”. Owszem, wymyślili: ...szacowny mebel kościelny - konfesjonał i inne drugorzędne akcesoria. W imię uczciwości historycznej trzeba przyznać, iż właśnie wielu przedstawicieli duchowieństwa starało się wstrzymać lud Boży od... spowiedzi.

Pamiętamy teorie o jednorazowej, niepowtarzalnej spowiedzi. Pamiętamy również, że koncepcje te -- pomimo słusznych intencji - przegrały w konfrontacji z codziennym życiem. Natomiast zasługuje na życzliwą uwagę inne, wspomniane uprzednio, doświadczenie z pierwszych stuleci chrześcijaństwa. Mam w tej chwili na myśli fakt wstrzymywania rozgrzeszenia aż do chwili pełnej pokuty. Może dzisiaj za szybko, za łatwo, za wygodnie dochodzi do pojednania grzesznika? Może przedtem należałoby, korzystając z doświadczeń historii, wytworzyć margines czasu, umożliwiający pogłębienie procesu dojrzewania duchowego penitenta do absolucji? Czas pomiędzy wyznaniem a rozgrzeszeniem mógłby być wykorzystany na naprawienie wyrządzonego zła. Współczesny penitent, zagoniony i zalatany, często zapomina o konieczności zadośćuczynienia. Najczęściej „nie ma czasu”, „zapomina”. W zupełnie innym nastroju przychodziłby po rozgrzeszeniu człowiek, który w ramach pokuty zdobył się na wielki trud przebaczenia np. nieznośnym, dokuczliwym współlokatorom. Taki penitent miałby szansę właściwego przeżycia wartości przebaczenia Chrystusowego. Spowiednik dzisiaj w niektórych wypadkach jakby zbyt „pochopnie” udziela rozgrzeszenia, nie zdając sobie sprawy, czy grzesznik wykona zalecenia pokuty, zmierzające do uzdrowienia sytuacji, czy może już po kilku dniach powróci w ponownej spowiedzi z tym samym problemem zła. Problem przy pierwszej spowiedzi nie został należycie rozwiązany; ba! w sytuacji obecnej nie mógł być rozwiązany. I co najważniejsze: przy pozostawieniu czasu pomiędzy wyznaniem grzechów a absolucją istniałaby możliwość niejako „eksperymentalnego” stwierdzenia, że penitent usiłuje naprawdę zmienić się na lepsze. Oczywiście metoda „wstrzymywania czasowego” pojednania ma i swoje ujemne cechy. Z pewnością nie mogłaby być stosowana we wszystkich wypadkach. Czas na wykonanie pokuty przed absolucją musiałby być roztropnie wyznaczony, stosownie do sytuacji

penitenta i obiektywnych okoliczności. W tej chwili jest to jedynie propozycja do dyskusyjnego dalszego przemyślenia. Wyczuwa się jednak potrzebę wprowadzenia do sakramentu pokuty tego, co można by w umowny sposób określić jako metodę próby. Metoda ta, mająca duże zastosowanie we współczesnej pedagogice, nie była lekceważona przez Chrystusa. Sugeruje ją również św. Paweł w swych Listach (np. 1 Tm 3,1-13) i w pierwszych wiekach chrześcijaństwa odgrywała poważną rolę. Niestety, w naszych czasach została ona niemal całkowicie wyeliminowana przy spowiedzi. Mogło to, między innymi, wpłynąć na osłabienie „efektywności” pedagogicznej sakramentu pokuty.

I tak już zupełnie na koniec, wracając do głównego problemu nieco „z przymrużeniem oka” - księża nigdy by nie wymyślili spowiedzi, chociażby z tego powodu, że spowiedź niesłuchanie męczy. Nie myślę w tej chwili o tzw. „dzięciołach” - spowiednikach, którzy po wysłuchaniu penitenta ograniczają się w swym wysiłku jedynie do... pukania. Spowiedź św., jeśli jest traktowana na serio, niesłuchanie angażuje kapłana. Jest napięty, czujny, aby nie popełnić pomyłki. Spowiednik koncentruje się całkowicie na niesieniu pomocy. Odpowiedzialność nieporównywalna z salą operacyjną (przecież chodzi tu nie o ciało; znacznie trudniejsze, bardziej mroczne, tajemnicze są schorzenia struktury duchowej) i często bezradność powoduje bolesne zmęczenie psychiczne. A dodajmy do tego szeregi penitentów, z którymi trudno się jest porozumieć. Skleroza, obsesje maniakalne - to wszystko tworzy mur, przez który uciążliwie usiłuje się przebić spowiednik. Jakże często nieskutecznie. Spowiedź nie jest jedynie wy-godnym siedzeniem na poduszce. Przecież do konfesjonału docierają często tłumy ludzi, operujących schematem. A bezmyślność nie tylko nudzi spowiednika, ale denerwuje i przeraża. Przez schemat nie można dojść do prawdziwego wnętrza drugiego człowieka. W rezultacie trudno mu pomóc.

My na pewno nie wymyśliliśmy spowiedzi. Jest tak ciężka, że niekiedy... uciekam od niej. Przypomina mi się w chwilach "dezercji" sympatyczny mój przeor, który zwykł mawiać do nas, młodych, tak jak to mają w zwyczaju starszaki na całym świecie. Ulubioną maksymą tego czcigodnego dominikanina było stwierdzenie: „kto siedzi w konfesjonale poza godzinami wyznaczonego przez przełożonego dyżuru, jest albo świętym, albo... wariatem”. „Porzekadła” przeorskiego nie traktuję jednak jako usprawiedliwienia. Ucieczkę od konfesjonału wyznałem, bo „jestem pełen winy” i tkwi we mnie głęboko to, co i w innych mych braciach z rodziny człowieczej: pragnienie oczyszczenia.

ZANIM PRZYSTĄPIMY DO SAKRAMENTU POKUTY

Nie zapominajmy, że spowiedź to jest sakrament wcale niełatwy i że „pokuta” oznacza *metanoię*, czyli ciągły proces nawracania się całkowitego, przede wszystkim w strefie myśli, koncepcji. Nie chcielibyśmy rozliczać się całkowicie z Bogiem - w rachunku sumienia nie chodzi tylko o statystyczne ujęcie popełnionego zła, ale przede wszystkim o roztropne programowanie rozwoju. W procesie codziennego przekraczania siebie, stawania się lepszym, wielką rolę może odegrać korekta poprzez codzienny, wieczorny rachunek sumienia.

Nie pomijajmy drugiego człowieka, tzn. starajmy się najpierw pojednać z bliźnim, a później dopiero uzyskać pojednanie z Bogiem w sakramencie przebaczenia.

Przed spowiedzią nie powinniśmy zapominać o kilku zasadniczych sprawach. Przede wszystkim, że zbliżamy się do sakramentu pokuty. Wiele osób, które wreszcie po latach przełamało opory i spowiada się, żalą się na trud związany z tym sakramentem. Zwykle tłumaczę wtedy, że wyraz „pokuta” w swojej treści niesie ze sobą wysiłek, a nawet cierpienie, które kończy się radością odrodzenia. Wyjaśniam, iż tylko człowiek o pewnych odchyleniach od normy „psychicznej” czuje „samą radość”, podchodząc do kratki konfesjonału. Każdy zaś „normalny” powinien przeżywać trud, a nawet niekiedy niepokój pokuty.

Wyraz „pokuta” po grecku wyraża się przez słowo *metanoia*, co oznacza zmianę, radykalne przeobrażenie. Taka istotna przemiana człowieka nazywa się po prostu „nawróceniem”. Do takiej pokuty wzywał Chrystus już na początku swej działalności (Mk 1,15). Jezus zwracał się z tym wezwaniem nie do bezbożników, cudzołożników i innych jeszcze grzeszników, ale wołał do ludzi głęboko wierzących w Jahwe, często ludzi czystych i szlachetnych. Teologowie tak wytrawni jak dominikanin o. Garrigou-Lagrange uważali, że dojrzały chrześcijanin powinien przejść przez trzy „drogi” nawrócenia. Teraz wydaje się to zbyt małe! Mówi się o „stałym” nawracaniu. A zatem, pamiętając o konieczności ciągłego procesu przemiany, zupełnie inaczej rozumiemy przystąpienie do sakramentu pokuty. Jest to element, fragment nurtu „codziennego nawracania się”, które w teologii nazywa się mądrze cnotą pokuty. Cała zresztą nasza Wspólnota z Chrystusem, czyli Kościół, ma być *semper reformanda*, czyli w stanie nieustannego nawracania. Zdając sobie sprawę z tego, że nawet Kościół, przeniknięty Duchem Świętym, potrzebuje stałego korygowania, będzie nam łatwiej przystąpić do sakramentu osobistej pokuty.

Przystępując do spowiedzi św., nie powinniśmy chcieć rozliczyć się skrupulatnie ze wszystkiego. Wcale nie znaczy to, iż nie powinniśmy zrobić przed sakramentem pokuty rachunku sumienia. Z dużym jednak niepokojem słucham przesadnie szczegółowych prób rozliczenia się z Bogiem. Największym smutkiem przejmuję wizja Boga - Wielkiego Buchaltera lub Niemiłosiernego Szefa urzędu finansowego. A taki obraz często przebija ze słów człowieka, klęczącego przy

konfesjonale. Taka to karykatura Ojca syna marnotrawnego powstała w mentalności niektórych wiernych. Piszę ze smutkiem, bo skrupulaci są biednymi ludźmi. Są na ogół bardzo gorliwi, chcą jak najlepiej, ale wskutek trudnych do wyleczenia nerwic efekt nie jest najlepszy. Oczywiście sąd Najsprawiedliwszego i Najmiłosierniejszego Ojca, przenikający intencje i motywy człowieka, może być zupełnie inny. W pewnym momencie życia duchowego „choroba skrupułów” jest twórcza. Mam na myśli okresy życiowego przełomu, „nawrócenia”. Wówczas pojawia się zapal neofitów i pewna delikatność, wrażliwość sumienia z pogranicza nieomal skrupułów. Mówiąc ze współczującym niepokojem o przesadnym rozliczaniu się, nie można zaprzeczyć, iż z jeszcze większą obawą myśli się o ludziach z szerokimi sumieniami, którzy ze skromną miną wyznają, że właściwie „nie mają się z czego spowiadać”. Po „wstrząśnięciu” sumieniem okazuje się, że „zapomnieli” o opuszczonej dobrowolnie i świadomie niedzielnej mszy św., o kilku poważniejszych kradzieżach lub o takim „drobiazgu” jak szóste przykazanie. Przeszronne i szerokie jak stopy są sumienia ludzi, którzy beztrząsliwie oświadczają przy konfesjonale: „nikogo nie zabiłem, nic nie ukradłem, więc czuję się czysty i w porządku”.

Falsz nadmiernego zawężenia, jak i zbyt dużego rozszerzenia sumienia pochodzi (poza przyczynami organicznymi i wpływami środowiska) ze zbyt jednostronnego pojmowania samego sumienia. Większość z nas określa sumienie jako „jakiś głos wewnętrzny, sygnalizujący złe postępowanie”. Jest to rozumowanie zbyt negatywne i retrospektywne. W tym ujęciu sumienie przypomina boczne lustro w samochodzie, pozwalające kontrolować sytuację z tyłu, a przecież to lustro ma również swoją pozytywną funkcję, umożliwiającą bezpieczną jazdę „do przodu”. Podobnie i sumienie, obok funkcji retrospektywnych, badających sytuację w przeszłości, ma swoje istotne zadanie kształtowania przyszłości. Człowiek bowiem nie jest „już gotowy”, ale wciąż przekracza siebie, „staje się”, dokonuje się. W zdążaniu do czegoś lub kogoś bardzo ważne jest postawienie pytania: „dokąd ja właściwie idę?” Na początku rachunku sumienia muszę znać cel mego „stawania się”. Jeżeli powiem, że rozwijam się po to, aby „ludziom było lepiej”, to już wspaniale, lecz za mało! Bo i niewierzący mogą dążyć do tego samego. Jeżeli dążę do zrealizowania dziesięciu przykazań, to po pewnym czasie ogarnia mnie znużenie i zniechęcenie. Czy warto aż tak się wysilać dla przestrzegania przepisów prawnych? Tylu ludzi łamie codziennie prawo i śpi spokojnie. Dla mnie, chrześcijanina, sens życia polega na upodobnieniu się do największego Przyjaciela - Jezusa Chrystusa. Jedno z pierwszych pytań rachunku sumienia to nie „ile razy” i „z kim”, ale czy „jestem podobny”, czy „naśladuję”.

Mając sprecyzowany cel działania, powinienem zająć się ustaleniem właściwych środków, które mogą mi umożliwić prawidłowe zdążanie. I tu dotykamy sfery zapomnianej przez wielu współczesnych, a którą określa się w teologii jako cnotę roztropności. Zastanawiające, że człowiek o tak wybitnym intelekcie jak św. Tomasz z Akwinu główny nacisk kładł właśnie na roztropność, a nie na sumienie. Wychowując roztropność, wychowujemy prawidłowo reagujące sumienie.

W działaniu, czyli zdążaniu do celu, przechodzimy przez kilka etapów roztropności. Najpierw powinien być „namysł” - namysłam się nad środkami, które powinienem zastosować. Są ludzie, przeważnie sangwinicy, którzy za mało poświęcają czasu na refleksję. Chcą działać od razu, z miejsca. I od samego początku popełniają głupstwa.

Po teoretycznym rozważeniu sposobów, rozsądek powinien dokonać wyboru najodpowiedniejszej metody działania. Niektórzy ludzie roztropnie dostrzegają wiele możliwości działania, ale ich błędem życiowym jest to, że nie mogą się zdecydować. Właśnie rozsądek powinien doprowadzić do najodpowiedniejszego wyboru. Nie można wyboru dokonywać bez zastanowienia, ale też nie można decyzji odkładać w nieskończoność.

Po tej fazie teoretycznego wyboru następuje realizacja. Dotychczas dużo zależało od sprawności intelektualnej, teraz wola musi nakazać działanie. Bywają świetni teoretycy, doskonale programujący, którym niestety brakuje niekiedy sił do urzeczywistnienia planów. W pewnej chwili z teorii trzeba przejść do życia. I tu jest potrzebna roztropność, która nie tylko czuwa nad realizacją teoretycznych ustaleń, ale i kontroluje proces wykonania. Chcąc udoskonalić działanie roztropności, a przez to i wykształcić prawidłowe reakcje sumienia, trzeba pamiętać, że sama roztropność składa się jakby z kilku części integralnie połączonych. Pierwszym składnikiem tej cnoty (lepiej po polsku brzmi: „sprawności”) jest „pamięć”, która powinna mieć zakodowane dotychczasowe klęski i sukcesy. Ułatwia ona prawidłowe działanie, nie naraża na powtórzenie błędów już raz popełnionych. To bardzo ważne, bo łatwo możemy wpaść w zakłamanie. Często wiele rzeczy zapominamy i nam to otoczenie wypomina. Wówczas następuje proces normalnej, instynktownej samoobrony poprzez tzw. projekcję. Wszystkie własne błędy, niedbalstwa przerzuca się na kogoś. W ten sposób, zamiast otwarcie się przyznać, powoli, coraz bardziej okłamujemy siebie i innych. Rodzi się zakłamanie, powodujące po latach trudność odróżnienia prawdy od fałszu. Fałsz początkowo drobny, pozornie nieszkodliwy wnika w głąb psychiki i rozpoczyna proces zakłamania.

„Zmysł rzeczywistości” - drugi składnik roztropności jest tym samym, co określamy jako "wyczucie realizmu". Zmysł rzeczywistości, związany z rozpoznaniem prawdy, również należy w sobie kształtować. Samowychowanie powinno doprowadzić do tego, aby panować nad wyobraźnią, aby zawsze jasno zdawać sobie sprawę z tego, co jest tylko jej grą, a co dzieje się naprawdę. Nieopanowanie fantazji jest źródłem strat nie tylko w życiu osobistym.

Starożytni Rzymianie mawiali mądrze: *age quod agis* – „czyń, co czynisz”, tzn. czyń, działaj z całą energią. Zlekceważenie tych może banalnych zasad prowadzi do osłabienia roztropności w fazie wykonania, a przez to także deprawuje sumienie.

Człowiek roztropny powinien posiadać również *docilitas*, tzn. zdolność, gotowość uczenia się od innych, umiejętność przyjmowania od nich uwag. Tak nie lubimy, żeby nas ktoś pouczał. Oczywiście rad nie trzeba przyjmować bezkrytycznie. Należy wiedzieć, z czyjego doświadczenia można skorzystać. Zawsze wartościowe będą uwagi autentycznych fachowców i speców. Sami (trzeba to umieć przyznać) niestety nie jesteśmy najmądrzejsi. Najmądrzej będzie jednak skorzystać z rady Najmądrzejszego. Duch Święty działa swoim światłem przez specjalny dar rady. Dar ten ma za zadanie uzupełnić to, czego niedostaje krótkowzrocznej i ograniczonej myśli ludzkiej. Nie może ona przeniknąć tajemnic planów Bożych. O dar rady powinni prosić w modlitwie zwłaszcza ci, którzy chcą znaleźć cel swego życia, wahają się przy wyborze dalszej drogi. Męczą się, bo nie wiedzą, do czego zostali powołani. Roztropność nakazuje wówczas zastosować jedyny właściwy środek: modlitwę - prośbę o światło.

Działając roztropnie, nie można działać schematycznie, lecz elastycznie. Jasne, że nie chodzi tu o elastyczność w stosunku do niezmiennych, podstawowych zasad moralnych. Elastyczność ta polega na umiejętności przystosowania się do zmiennych okoliczności, w których człowiek działa. Należy mieć oczy szeroko otwarte, być spostrzegawczym, nie upierać się przy ciasnym doktrynerstwie, lecz reagować na nowe okoliczności i umieć zmieniać nawet najmądrzejszą uprzednią decyzję. W nowej sytuacji nie będzie ona już najmądrzejszą. Trzymanie się kurczowo zdezaktualizowanego programu nie tylko w życiu osobistym, ale i w każdej sferze może prowadzić do katastrofalnych skutków społecznych.

Ostatni element - zdolność przewidywania - jest niezmiernie istotnym elementem roztropnego działania. Sterując działalnością osobistą czy społeczną, trzeba umieć wyprzedzać sytuacje. Widzieć ciąg dalszy, przewidzieć posunięcia współpartnerów, a w dziedzinie politycznej i wojskowej - przeniknąć strategię przeciwnika. Przy szalonym tempie współczesności nie można się spóźniać, trzeba iść co najmniej krok z przodu. Tu jest potrzebna wyobraźnia nie kolorowa, bajeczna, ale regulowana przez spokojny realizm. Ludzie pozbawieni wyobraźni są bezradni, zagubieni, ograniczają się tylko do spojrzenia w przeszłość, oplakiwania popiołów historii własnego życia lub dziejów narodu. Brakuje im dynamiki - twórczego ukierunkowania na istotny cel życia.

Przy próbie podkreślania roli roztropności w kształtowaniu niezafałszowanego sumienia, twórczego ustawienia na cel działania, umiejętny wybór środków i prawidłową realizację zamierzeń, nie należy bynajmniej pomijać retrospekcji. I ona ma swoje znaczenie w tworzeniu przyszłości. Dla „liberałów duchowych”, dość swobodnie traktujących wszystko i wszystkich, ważne będzie przypomnienie, że beztrąskę należy porzucić, gdy się myśli o tym, co określamy jako grzech ciężki, czyli śmiertelny. Poza naszą przyjemnością i to momentami niezwykle intensywną, jak przy wykroczeniach seksualnych, równoległe istnieje ból zdradzonego Przyjaciela - Jezusa Chrystusa. I dlatego należy dokładnie sobie przypomnieć wszystkie chwile zdrady. Jeśli trudno podać dokładną ilość tych grzechów poważnych, bo to było tak dawno, wystarczy określić w przybliżeniu częstotliwość. Również nie będzie skrupulanctwem, gdy podamy okoliczności, konkrety zmieniające sytuację w sposób istotny.

Przypomina mi się góral, spowiadający się podobno z tego, że zrzucił kozuch z dachu. „Zapomniał” biedaczysko dodać „drobiazg”, iż w kozuchu była... teściowa. Natomiast warto wiedzieć, że nie ma obowiązku spowiadania się ze wszystkich grzechów powszednich. Wystarczy spowiadać się z kategorii pewnych czynów zła. Chodzi o to, aby nie skoncentrować zbyt wiele uwagi na drobiazgowych obliczeniach, a przeoczyć sprawy najważniejsze. Eliminując pewne marginalne fakty, można skupić uwagę na stworzeniu systemu naprawy zła, co jest cenniejsze od nieproduktywnego zagubienia się w samym rozliczaniu. Mówimy: „grzech powszedni”, „grzech śmiertelny”. Niektórzy mają wielki problem, jak odróżnić jeden od drugiego. Popełnić grzech ciężki, wbrew pozorom, nie jest tak łatwo. Nie chodzi tutaj o szybkość, bo samo dokonanie może nastąpić w ciągu ułamka sekundy, tylko decyduje pełna świadomość i dobrowolność czynu. Oczywiście sam przedmiot działania, rzecz o którą chodzi, nie może być drobiazgiem. Wynika z tego, że zakłócenie rozpoznania, pomyłka, stworzenie sytuacji przymusowej powoduje, że czyn nie może być kwalifikowany jako grzech ciężki. Samo szczerze postawienie pytania: „Czy to grzech śmiertelny?” wskazuje, że go nie popełniono, bo zabrakło elementu pełnej świadomości, której towarzyszy pewność.

Jeśli przypominamy sobie i zastanawiamy się nad popełnionymi złymi czynami, to należy sięgnąć głębiej - do samego źródła. Jeśli kłamię, to „dlaczego”? Czymś zupełnie innym jest kłamstwo z tchórzostwa, innym kłamstwo z bezmyślności, a zupełnie różnym mijanie się z prawdą ze względu na przerost ambicji. Ocena moralna tej samej sytuacji, zależnie od ujawnionej motywacji będzie zupełnie inna. Dokonując jeszcze głębszej introspekcji, powinno się dojść do ustalenia: „co jest moją główną wadą?”

Konstruktywne jest również pytanie, odnoszące się do wszystkich grzechów: „czy popełniam je wskutek słabości?” „Czy jest w tym premedytacja?” Albo: „może już przyzwyczailem się do zła?” W ostatnim przypadku chodzi nam przede wszystkim o grzechy powszednie. Zapewne niekiedy można się oswoić i ze zbrodnią, ale znacznie łatwiej przyzwyczaić się do małego zła, które sprawia nawet odrobinę satysfakcji. Osobiście lubię plotkować. Niby głupstwo, ale czuję, iż to "lubienie" jest w tym drobiazgu najgorsze. Powtarzany grzech powszedni z przyzwyczajenia, to jakby "kurz na miłości". Początkowo niemal niewidoczny, później pokrywa coraz grubszą warstwą, która może zacząć dusić, tak iż z wolna tracimy oddech życia, umiera miłość. Warto pamiętać, że tolerowane grzechy powszednie mogą prowadzić do popełnienia grzechu ciężkiego. Grzech lekki może nagle „skoczyć jakościowo” w grzech śmiertelny. Najplastyczniej to widać przy kradzieży. Drobną kradzież jest drobnym grzechem. Tak jest na ogół (ale trzeba zwrócić uwagę na okoliczności: „Kogo okradziono?”; dla człowieka w skrajnej nędzy albo w sytuacji ostatecznego zagrożenia drobiazg wcale nie jest drobiazgiem, np. kawałek chleba w naszej rzeczywistości i ta sama porcja w obozie koncentracyjnym). Systematyczne powtarzanie drobnej kradzieży, wskutek kumulacji wartości, w pewnym momencie przechodzi ze względu na intencję w „dużą aferę”, staje się wielką kradzieżą, grzechem poważnym.

Przy końcu rachunku sumienia nie powinno zabraknąć pytania: „Czy od ostatniej spowiedzi jestem lepszy?” A może np. przy spowiedzi przedślubnej: „czy wytrzymaliśmy próbę miłości?” (konflikt pomiędzy miłością pożądania wzajemnego a Miłością do Chrystusa, który mówi: „jeżeli Mnie miłujecie... przestrzegajcie moich przykazań...” - zaczekajcie jeszcze do ślubu ze zjednoczeniem seksualnym) lub: „czy nasza wzajemna miłość wzrosła?” Wobec ogólnego pędu do rozwoju byłoby dziwne, gdyby na najważniejszym odcinku życia człowieczego - miłości - była stagnacja. Właściwie w miłości nie ma stania w miejscu: jeżeli nie ma rozwoju - jest regres. Dlaczego wszędzie jestem zdobywczyni, łapię dodatkowe pół etatu, prace zleczone, i nawet - pomimo trudności z materiałami budowlanymi - z szalonym wysiłkiem stawiam „chatkę”? Może dokształcam się zawodowo, biorę lekcje angielskiego, chociaż jestem już „starym koniem” - a tu, w miłości, się cofam, maleję. Gdzie jest tego przyczyna?

Przy rachunku sumienia unikajmy schematycznych pytań, nawet z najpobożniejszych książeczek. Używanie szablonu to pierwszy krok do hamowania rozwoju.

W sposób nietypowy, antyschematyczny, można próbować siebie samego „zaskoczyć” takimi pytaniami, jak: Co o mnie sądzi sam Bóg? A co dodałby do mego rachunku sumienia człowiek, który mnie najlepiej zna? A człowiek, który mnie nie znosi lub nie lubi? Czy przypadkiem moje życie nie jest wypełnione jedynie troską o samego siebie? Jakie jest zasadnicze nastawienie i dążenie mojego

życia? Jak słucham natchnień Ducha Świętego? Czy jestem świadkiem Zmartwychwstałego? Czy mówiąc o Kościele, myślę: „my”, a nie „oni”? Czy zrealizowałem postanowienie poprawy z ostatniej spowiedzi św.?

A dla małżonków pytania:

Co przeczytałem na temat sakramentu małżeństwa i miłości małżeńskiej? Czy z chwilą zawarcia małżeństwa nauczyłem się modlić inaczej, we dwoje? Jak włączam „ofiary” naszego życia małżeńskiego w Najświętszą Ofiarę mszy św.? Czy umiem dla dobra naszej wspólnoty opanować się, zamilczeć i przeczekać, gdy jestem zdenerwowany i rozdrażniony lub czuję się urażony i dotknięty? Czy w naszych sprzeczkach skłonny jestem uznać wzajemną winę, również moją? Czy potrafię skoncentrować się na tym, co nas łączy, a nie zatrzymywać się na sprawach, które mogą nas dzielić lub poróżnić? Czy w naszej rodzinie jest Pismo Święte - i czy je czytamy? Czy umiemy rozmawiać z dziećmi na tematy religijne? Czy nasz dom jest otwarty dla innych? Czy poważnie traktujemy pytania i problemy dzieci? Czy staramy się obydwójce zachować jedną "linię wychowawczą" wobec naszych dzieci? Czy nie boimy się stawiać dzieciom coraz większych wymagań i zachęcać je do wysiłku twórczego? Itd.

Wreszcie na końcu, w związku z rachunkiem sumienia, radzę: róbmy codzienny rachunek sumienia. Zwykle są kłopoty z odtwarzaniem przeszłości, zwłaszcza gdy się nie było u spowiedzi św. dłuższy czas. Taki „czcigodny jubilat” mógłby tak nie łamać sobie głowy, gdyby codziennie poświęcił minutę lub dwie na krótki obrachunek dnia. A ponadto niezmiernie korzyści duchowe, płynące z częstego rachunku sumienia, jak choćby tylko z kontroli rozwoju wewnętrznego, powinny skłonić nas do podjęcia tej praktyki. Tym bardziej że „nie stracimy” nic ze swego czasu, którego nam brakuje i o który stale walczymy. Codzienne rozliczenie z Bogiem i ludźmi najlepiej włączyć do wieczornej modlitwy. Często jest ona taka „usypiająca”, „odbębniiona”, schematyczna. Wprowadzenie rachunku sumienia do modlitwy wieczornej byłoby dużym jej ożywieniem. Ponadto pora wieczorowa sprzyja rozliczeniu z całego dnia. O wieczornej godzinie jest już względny spokój - dzieci poszły spać, nikt inny już nie przeszkodzi...

Proponuję codziennego rachunku sumienia nie rozpoczynać zawsze modlitwą o światło, ale niekiedy podziękowaniem za cały dzień, bo najlepszą prośbą jest umiejętne dziękowanie. Ważne jest wkomponowanie rachunku sumienia w całość modlitwy. Niech będzie to na przykład mała kartka papieru. Nawet ten drobiazg przełamie dotychczasowy schemat modlitwy. Biorę coś do pisania i zaczynam tworzyć na karteczce plan następnego dnia. Wszystko w myśl tego, co powiedzieliśmy poprzednio o dynamicznej koncepcji człowieka i wychowywaniu roztropności, a tym samym i sumienia. Programując dzień najbliższy, bądźmy litościwi dla siebie. To nie jest wyścig pracy! Obok godzin sumiennego wysiłku mam przemyśleć i relaks -- rodzinny, osobisty. Może uda mi się wygospodarować 10 minut na codzienne refleksyjne czytanie Pisma Świętego? A może jest jeszcze coś do zrobienia dla ludzi? Aby nasze małżeństwo nie zamykało się tylko w sobie i na sobie, bo szybko ucieknie z niego miłość.

Ważne jest, aby programować nie za „wysoko”, by można było plan zrealizować, i nie za „nisko”. Miejmy odwagę i ambicję stawiania sobie wymagań! Z doświadczenia wiem, iż niektóre sprawy należy ustawiać elastycznie, z pewnym oddechem, luzem, przerwą. Nagromadzenie jednego

po drugim powoduje napięcie nerwowe i groźne wybuchy wobec otoczenia. Niestety, są sprawy do załatwienia „tylko na minuty”. My przynajmniej - o ile to zależy od nas -- zrezygnujmy z superekonomicznego wykorzystywania czasu i nie niszczy my nerwów własnych i cudzych, ustawiając „sprawy” zbyt blisko siebie.

Następnego dnia modlitwa wieczorna będzie polegała na skorygowaniu zamierzeń wczorajszych z dzisiejszym dniem. Jeśli masz żonę czy męża, wydaje mi się, że byłoby wielką nieroztropnością programowanie życia wspólnego oddzielnie, w samotności. Wspólnie przeprowadzany rachunek sumienia ma dodatkowy walor obiektywizacji. Współpartner twego życia, który widzi ciebie dniem i nocą, na pewno do programu dorzuci obiektywną, chociaż być może krytyczną uwagę. Wczorajszy plan dnia po wieczornej korekcie ma szansę stać się bardziej realny - jutro!

Po rozliczeniu z programem warto chwilę zastanowić się nad momentem, w którym rozwój duchowy był już może wyraźny, ale i również chodzi o to, by nie bawiąc się w szczegóły, zauważyć największy błąd dnia. Wyciągając konstruktywne wnioski z klęski, nie można zapomnieć o przeproszeniu Boga za zło i o prośbie, aby na odcinku dzisiaj „zawalonym” jutro było lepiej. Sam się przekonałem, że modląc się intensywnie wieczorem o lepsze jutro, włączałem siły przekraczające moje własne słabe energie i następny dzień był dniem wzrastania.

Czego jeszcze nie powinno się robić przed spowiedzią? Na pewno nie można pominąć drugiego człowieka. Sartre zdefiniował bliźniego jako „tego drugiego, który przeszkadza”. Każdy z nas sprawia mnóstwo kłopotów innym, a ci inni nam. Miłość człowieka to największa próba autentyczności mojej miłości. My, Polacy, jesteśmy skłonni do wielkich czynów miłości: skoczyć do wody, by uratować tonącego, wynieść z płonącego domu dziecko. Natomiast niewesoło jest w przypadku spraw mniejszych, codziennych, sąsiedzkich. Ile awantur, kłótni o rozlaną wodę na korytarzu, o trzaskanie drzwiami - to jest ten „drugi, który przeszkadza”, nie daje żyć. W obronie zagrożonej „egzystencji” bronimy się krzykiem, a gdy to nie pomaga - ciszą, zerwaniem stosunków towarzyskich, sąsiedzkich, a nawet rodzinnych. Stwierdzamy: „ja tylko nie rozmawiam”. Ta cisza jest groźna. Każdy dzień milczenia oddala, tworzy przepaść coraz trudniejszą do pokonania. Przychodzimy do sakramentu przebaczenia i stwierdzamy: „nie gniewam się, ale udaję, że go nie widzę - jest dla mnie powietrzem, nie istnieje”. Bliźni, brat w Chrystusie, nie istnieje? A sam chcę uzyskać przebaczenie w sakramencie pokuty! Pomijam człowieka, chcę dojść bezpośrednio do Boga. Zapominam, iż Jezus powiedział: „Jeśli więc przyniesiesz dar swój przed ołtarz i tam wspomnisz, że twój brat ma coś przeciw tobie, zostaw tam swój dar przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim! Potem przyjdź i dar swój ofiaruj!” (Mt 5,23-24) W słowach Chrystusa ważna jest kolejność: najpierw człowiek - pojednanie z nim, dopiero później Bóg - dar dla Niego, czynność sakralna, spowiedź św. U nas przeważa świadomość odwrotnej kolejności. Jest już dużym sukcesem spowiednika, jeśli uda mu się skierować penitenta po spowiedzi po przebaczenie do drugiego człowieka. W Cerkwi prawosławnej nie może być rozgrzeszony człowiek „trwający w niesnaskach i nie chcący pogodzić się ze swymi wrogami”.

Jeszcze jedno, prawda z Ewangelii wg św. Mateusza, z fragmentu już przytoczonego, często nie dociera do naszej świadomości, nie przenika sumienia. Jezus powiedział: „...jeśli twój brat ma coś

przeciwko tobie...” Oznacza to sytuację, w której ty możesz czuć się niby zupełnie w porządku. Mogę nie poczuwać się do żadnej winy. Wystarczy jednak, iż mój brat ma „coś przeciwko mnie”. Mistrz z Nazaretu nie osądza, czy żal, który ma ten brat, jest słuszny, czy niesłuszny - stwierdza tylko sytuację konfliktową. Do tego stopnia Ewangelia jest delikatna, subtelna! Oczywiście, jak zwykle w życiu, są sytuacje wyjątkowe, w których każda próba wyjaśnienia kończy się jeszcze większą awanturą. W tych przypadkach lub w sytuacji możliwości „rozzuchwalenia” drugiej strony naszą ustępliwością, albo w kontakcie z osobnikami o psychice patologicznie skrzywionej, należy w inny sposób rozwiązywać bolesny i trudny konflikt. Niekiedy jesteśmy tacy z grubsza ciosani, nawet tekst tak wyraźny o stałym, bez końca przebaczeniu potrafimy zinterpretować w sensie ograniczenia przebaczenia tylko do kilku sytuacji. A przecież u św. Łukasza czytamy: jeśli twój brat siedem razy zawini przeciw tobie na dzień i siedem razy zwróci się do ciebie, mówiąc: „żałuję” - to mu przebaczysz. A wiemy, że „siedem”, hebrajska cyfra sakralna, oznacza coś więcej niż nasze siedem. Piotr otrzymał dziwną odpowiedź na pytanie „ile razy ma przebaczać?” – „siedemdziesiąt siedem razy”. Zestawienie dwóch siódemek obok siebie u Hebrajczyków oznaczało „nieskończoność”, czyli zawsze mam przebaczać i to przed przystąpieniem do sakramentu pokuty.

TO JEST NAJWAŻNIEJSZE

Istnieje szereg określeń, definiujących inteligencję człowieka. Nie odpowiada mi definicja stwierdzająca, iż jest to: „zdolność przystosowania się do sytuacji”. Pomijając w takim pojmowaniu inteligencji brak ostrości granic pomiędzy człowiekiem inteligentnym a sprytnym, przebiegłym, poważniejszym jej mankamentem jest jakaś wtórność definiowania. Inteligencja tak określana jest wynikiem, skutkiem czegoś uprzedniego. Uważam za inteligentnego człowieka, który potrafi w całym splocie skomplikowanej rzeczywistości uchwycić bezbłędnie to, co jest w danej sytuacji decydujące, istotne, czyli - najważniejsze.

Mysząc i pisząc o wielu ważnych sprawach, związanych ze spowiedzią, w pewnym momencie trzeba się zapytać: „co w tym wszystkim jest najważniejsze?” Na pewno nie historia sakramentu pokuty, nie przygotowanie do spowiedzi, nie samo podejście do konfesjonału: ale jedynie skrucha. I od razu zjawia się możliwość całkowitego nieporozumienia. „Nie mam w sobie tego, co najważniejsze - żalu, bo popełniam grzechy, nawet te poważne, ciężkie - jak je nazywacie - ale przy spowiedzi nic nie czuję. To znaczy bez tego istotnego elementu moja spowiedź nie ma sensu. Czy nie logicznie rozumię?” Ależ tak - jak najbardziej poprawnie, konsekwentnie, tylko że żal jest czymś innym. Nie polega w swojej istotnej treści na przeżyciu emocjonalnym; to znaczy - jest dobrze, jeśli odczuwamy smutek, ból z powodu dokonanego zła. To nam pomaga, nawet ułatwia przeżycie sakramentu pokuty. Bardzo się cieszę, gdy coś odczuwam, to polepsza moje samopoczucie, mobilizuje siły psychiczne, ale są dni, gdy jestem suchy, wyprany z wszelkich wzruszeń, nic nie przeżywam. Jeśli coś jest we mnie, to zniechęcenie do siebie samego, wszystko mnie „odrzuca” od spowiedzi. I nawet w takim stanie wyznanie grzechów wobec kapłana jest w pełni wartościowe i może powstać twórczy żal. Mówiąc o tym, czym nie jest żal za grzechy, należy ponadto zwrócić uwagę, że nie jest on psychoanalitycznym poczuciem winy. Dla psychoanalityka, wyznającego zasady Freuda, istnieje zbieżność świadomości winy i schorzeń psychicznych. Religię i poczucie winy freudysta traktuje jako archaiczne relikty i neurotyczne fikcje. Usiłuje on zasugerować pacjentowi, że na jego poczuciu winy nie ciąży rzeczywista wina, lecz raczej jakiś kompleks, jakieś seksualne praprzeżycie, jakiś przymus. W wyniku takiego „leczenia” chory, nękanym poczuciem winy i jej neurotycznym kompleksem, powinien uświadomić sobie przekorną grę podświadomości, a przez to poznanie wyzwolić się od „fałszywego ciężaru winy”, a także i od neurozy. Niestety, pacjent po odczuciu chwilowej ulgi nadal pozostaje nie wyleczony, bo choroba tkwi głębiej niż sięga psychoterapia.

Czym zatem jest żal za grzechy? Przeczuję pewne opory psychiczne u Czytelnika, bo za chwilę chcę powołać się na definicję Soboru Trydenckiego. Niestety, nie spotkałem we współczesnej teologii bardziej precyzyjnego określenia żalu za grzechy niż to, które podał Trydent. Nieco uwspółcześniając to określenie, można powiedzieć, iż żal ten jest bólem psychicznym, obrzydzeniem sobie popełnionych grzechów połączonym z postanowieniem poprawy. Kluczowym wyrazem definicji jest: „ból”. Sobór wyraził się jeszcze dosadniej, mówiąc o „ból duszy”. Nie ma się tu na myśli jedynie

przeżyć, ale przede wszystkim odczucia naszej świadomości, jak strasznym cierpieniem psychicznym i fizycznym dla Chrystusa był i jest nasz każdy grzech śmiertelny. Spowodował przecież śmierć Boga-Człowieka. Tylko przez taki ból może człowiek umrzeć dla grzechu. Bolesć ta budzi życie, bo jednoczy się ona nie tylko ze śmiercią, ale i ze Zmartwychwstaniem Chrystusa. Prawdziwa bolesć żalu nie jest tylko suchym aktem woli, lecz bólem „serca”, bo jesteśmy syntezą ducha i ciała. Jednak stale to przypominać należy, że decydującym elementem jest strefa najgłębszej świadomości.

W analizie treści świadomości warto zwrócić uwagę na strefę motywacji. Motywem skłaniającym często do żalu, zwłaszcza u ludzi powierzchownych i niedojrzałych duchowo, jest lęk. Obawa przed piekłem nie jest motywem najszlachetniejszym, ale już wystarcza, aby powstał żal, co prawda - niedoskonały. Do skutecznego przyjęcia sakramentu pokuty wystarcza jako minimum motyw obawy przed karą piekła, jednak w tym żalu musi się zawierać jakiś początek miłości. Jeśli ktoś rozumie, iż piekło to nie tylko „smoła i siarka”, ale przede wszystkim wieczna samotność bez Boga, czyli przekreślenie przyjaźni z Chrystusem, wówczas jest nie do pomyślenia, aby z bojaźni przed taką wizją potępienia żal nie zawierał elementów początkowej miłości. W jednym tylko wypadku sprawa niebezpiecznie się skomplikuje, mianowicie gdy ktoś jest skłonny popełnić grzechy ciężkie z założeniem warunkowym: „jeśliby nie istniało zagrożenie mękami piekielnymi”. Trudno uznać takiego grzesznika za właściwie przygotowanego do sakramentu przebaczenia. Z ograniczenia do minimum motywu skruchy widać wyraźnie jakąś wielką, Boską wyrozumiałość, miłosierdzie dla grzesznika. Wystarcza bowiem przy spowiedzi zdobyć się jedynie na żal niedoskonały, o tak mało wzniosłej motywacji. W chwili rozgrzeszenia Bóg przez swe tajemnicze działanie przekształca żal niedoskonały w doskonały, tzn. taki, którego pobudką nie jest lęk, lecz miłość Boga.

Do zlikwidowania grzechów śmiertelnych poza sakramentem przebaczenia potrzeba karkołomnej sztuki. Należy wówczas zdobyć się *sua sponte* na żal doskonały. Umiejętność ta polega nie tylko na wysiłku, ale przede wszystkim na wielkim ryzyku. Nigdy nie mogę mieć pewności, czy poza spowiedzią zdobyłem się na żal wystarczający, czyli doskonały. Polega on nie tylko na zmianie motywacji, ale i ponadto na większej intensywności. Niestety, nie mamy żadnego wskaźnika, kiedy przekraczamy granicę pomiędzy żalem niedoskonałym a doskonałym. Czy natężenie miłości osiągnęło dostateczną intensywność do uzyskania przebaczenia Boga? Przy spowiedzi wiem z pełnym przekonaniem, iż gdy żałuję, nawet z lęku przed konsekwencjami grzechu, wówczas mocą wewnętrzną sakramentu następuje niejako „automatyczna” modyfikacja jakościowa mojej niedoskonałej motywacji. Oczywiście są wypadki, gdy trzeba uciec się nawet do ryzyka sprowokowania żalu doskonałego. Są sytuacje zagrożenia egzystencjalnego, wypadki, katastrofy, gdy nie ma w pobliżu kapłana, a życie nagle zaczyna się kończyć. W tym wypadku decydującą moc ma miłość. „Ponieważ wiele umiłowała, wiele jej się przebacza” - usłyszała kiedyś zapewnienie Chrystusa jawno grzesznica. Decydujące znaczenie ma łaska, która wyprzedza nasze odczucia i czyny. I z tego punktu widzenia można optymistycznie powiedzieć, że wszystko w przebaczeniu zależy w istotnym wymiarze od miłosierdzia Jezusa Chrystusa.

W związku ze skruchą istnieje paradoksalna sytuacja. Zasadniczo trudniejsza jest sprawa z odpuszczeniem grzechów ciężkich niż lekkich. Pod pewnym względem jednak do darowania grzechów lekkich potrzeba czegoś bardziej subtelnego niż do zgładzenia grzechów śmiertelnych. Przy wyznawaniu grzechów śmiertelnych trzeba żałować za wszystkie, bez żadnego wyjątku i przebaczenie

Boże dotyczy każdego grzechu, chociażby nawet penitent zapomniał wymienić konkretnie jakieś poważne zło.

Zupełnie inaczej jest z przebaczeniem grzechów powszednich. Grzech lekki może być odpuszczony jeden bez drugiego, np. łakomstwo bez zlikwidowania grzechu obmowy. Dzieje się to, dlatego iż ktoś mógł żałować tylko za jeden, a miał przywiązanie, upodobanie do drugiego grzechu. Jest to bardzo dziwne, ale jeśli łaska uświęcająca, otrzymywana w chwili rozgrzeszenia, nie może koegzystować z grzechami ciężkimi, to może ona współistnieć z grzechami lekkimi i dlatego otrzymywanie łaski uświęcającej nie wystarcza ani też nie jest konieczne do oczyszczenia z grzechów lekkich. Do zlikwidowania grzechów powszednich jest konieczna czynność wykonana osobiście przez tego, kto grzech popełnił. Taką czynnością jest akt skruchy - żalu. Nie chodzi tu tylko o bezpośredni, wyraźny żal, ale skrucha może być zawarta pośrednio w każdym akcie miłości. Efektywność żalu, oczyszczającego z grzechów lekkich, zależy od miłości, która go powoduje. A z miłością bywa bardzo rozmaicie. Istnieje miłość gorąca i wspaniała o maksymalnym natężeniu. Komuś, kto zdobędzie się na tak intensywną miłość do Boga, że do wszystkich grzechów lekkich, jakie popełnił, będzie miał odrazę i niechęć, gdyż stanowią one przeszkodę w całkowitym zjednoczeniu z Bogiem, wszystkie te grzechy zostaną zgładzone.

Zwykle jednak jesteśmy połowiczni. Żałujemy za jeden lub najwyżej za kilka grzechów, a całe warstwy pozostają nieporuszone. Obrastamy w grzechy powszednie, bo nie mamy chęci ich zlikwidowania. Po prostu przyzwyczailiśmy się do grzechów codziennych, właśnie małych, drobnych. Jest nam wygodnie z nimi, nawet je jakoś lubimy. A później dziwimy się, że coś zaczyna blokować wzrost łaski. Brakuje intensywności żalu, miłości, tego, co określamy jako „gorącą” miłość, a łacina określa pięknie: *fervor caritatis*. Grzechy powszednie są często bardziej zdradliwe niż śmiertelne. Wobec tych ostatnich, jako bezpośrednio zagrażających życiu z Bogiem, jesteśmy na ogół bardziej czujni, uwrażliwieni. Z tego trzeba chyba wyciągnąć wnioski praktyczne przy żalu za grzechy powszednie, aby nie tolerować uczuć pobłażliwości czy nawet wręcz pewnej „sympatii” w stosunku do małego zła. Żal trzeba uczynić bardziej totalnym, obejmującym możliwie cały zakres „powszedniego” zła. Nie chodzi tutaj o wysiłek świadomości, która może nie ogarnąć całego zła, zróżnicowanego w konkretnych wielopostaciowych formach. Istotne jest zdobycie się przy spowiedzi św. na wielką miłość, która nie toleruje przeszkód w zjednoczeniu z Boskim Przyjacielem. W refleksjach o zagrożeniu rozwoju duchowego przez grzechy powszednie jest nieco pesymizmu. Niech optymizmu koniecznego w walce ze złem doda przekonanie, że grzechy lekkie poza sakramentem pokuty można likwidować w bardzo prosty sposób. Każdy znak Krzyża Świętego, krótka modlitwa, pokropienie wodą święconą, a przede wszystkim przyjęcie Eucharystii -- to wszystko gładzi grzechy lekkie. Jakość i zakres oczyszczenia zależą od stopnia świadomości, z jaką uczestniczymy w obrzędach liturgicznych czy wykonujemy czynności sakralne, a przede wszystkim - od intensywności miłości. Wiele naszych modlitw jest mało skutecznych, bo tak niedbale się modlimy. Ile tu zmarnowanych szans w oczyszczaniu się z codziennych grzechów!

Jeśli żal za grzechy jest tym „sednem sprawy”, to bez niego - choćbym się spowiadał niezwykle szczegółowo i bił się w piersi, a ksiądz wypowiadałby słowa absencji - nic nie będzie, spowiedź jest „nieważna”. Powstaje wobec tego niepokojące pytanie: Czy ja w mojej spowiedzi zdobywam się na ten żal? Na pozornie trudne pytanie odpowiedź jest wyjątkowo nieskomplikowana: jeśli postanawiam poprawę, to znaczy, iż autentycznie wyrażam skruchę za grzechy. Skutkiem prawdziwego żalu jest

zawsze świadomość konieczności zmiany trybu życia. Zastanawiamy się niekiedy, dlaczego nasze spowiedzi są tak mało efektywne. Nic się po nich nie dzieje. Nadal te same grzechy, grzeszki. Uczciwy człowiek zaczyna zniechęcać się do siebie lub do sakramentu pokuty. Zniechęcenie może przejść w poczucie bezsensu. I w pewnym momencie - mówimy sobie: po co siebie i innych oszukiwać i... przestajemy korzystać z sakramentu przebaczenia.

Tymczasem błąd tkwi gdzie indziej: w niewłaściwym postanowieniu poprawy. Niezmiernie bowiem rzadko zdarza się absolutny brak żalu. Chociaż stary wilk morski z powieści Marshalla, konając przy ostatniej spowiedzi, z całego barwnego swego żywota nie może uczciwie wyrazić skruchy za przygody z dziewczynami portowymi, takie to było przyjemne, to jednak żałuje, jak stwierdza, że „nie może żałować”. Najczęściej zdarza się nie brak skruchy, lecz zbyt ogólne postanowienie poprawy. Gdy na moje pytanie: „z czego się chcesz poprawić?”, penitent odpowiada, iż chce poprawić się „ze wszystkiego”, mówię mu, że to bzdura. Nie można tak nagle, przynajmniej w zakresie grzechów powszednich, poprawić się ze wszystkich złych czynów. Postanowienie poprawy staje się autentyczne przez konkretyzację. To ma być realny program poprawy sytuacji. Należy go przed spowiedzią przemyśleć, przekalkulować szanse. Niekiedy spowiednik, zmęczony, nic na ten temat nie powie. Nie ma już sił na to albo ochoty (tyle razy mówił już i wszystko bezskutecznie!) Trzeba samemu spontanicznie ustanowić program własnej konkretnej poprawy. Nie należy w postanowieniu zapominać o właściwym rozegraniu sytuacji, które stanowią bezpośrednią czy chociażby pośrednią okazję do ponownego zła. Nieraz to bardzo kosztuje.

Wielu ludzi załamuje się wobec realizacji mądrych postanowień, bo tak jak nie ma prawdziwego żalu bez postanowienia poprawy, tak samo nie może być autentycznego postanowienia bez skruchy. Właściwie to wróciliśmy do punktu wyjścia - do żalu. Znowu muszę się odwołać do Soboru w Trydencie. Sobór ten podkreśla z naciskiem, że żal nie polega na samym „odpuszczeniu grzechów wraz z postanowieniem nowego życia”, lecz istotnie na czynnym przeciwstawieniu się popełnionym grzechom. Słabość postanowienia poprawy bardzo często wynika z tego, że chociaż decydujemy się na zmianę stylu życia, nie ma to nośnej energii, bo nie wypływa z dynamiki przeciwstawienia się, jakim jest właściwe przeżycie skruchy. Posłuchajmy, co mówi o tym znany współczesny filozof, Max Scheler: „Jowialni panowie powiadają: nie żałować, tylko wziąć się do dobrych postanowień i przyszłość czynić lepszą! Ale tego nie powiedzą ci jowialni panowie, skąd brać siły do powzięcia dobrych postanowień, a jeszcze bardziej siłę do ich wprowadzenia w czyn, jeżeli przedtem żal nie uwolni danej osoby od determinacyjnej mocy jej przeszłości... Droga do całkowitego wzgardzenia sobą prowadzi przez nie wypełnione dobre postanowienia, których nie uprzedził prawdziwy żal” (*Ruhe und Wiedergeburt*, w: *Vom Ewigen in Menschen*, Leipzig 1921).

Psychologia i teologia są zgodne, że bez zlikwidowania obciążenia przeszłością przez autentyczną skruchę jest niesłychanie ryzykowne przejście od winy do początku nowego życia. Wina i grzech przez swą wewnętrzną strukturę pozostają destruktywnymi siłami, które potem w różny sposób działają. Im mniej zdajemy sobie sprawę z tego procesu, tym swobodniej i mocniej oddziałuje raz popełniony grzech. Dopiero żal niszczy istotę winy, usuwa motyw i zły czyn i umożliwia spontaniczny początek nowego życia. Żal więc w konsekwencji powoduje moralne wyzwolenie. Ponieważ strefa żalu należy do miłosiernego oddziaływania Boga, dlatego nie należy zapominać o efektywnej roli modlitwy-prośby. Mistycy Wschodu modlili się o specjalny „dar łez”. Nie chodzi tu

o rozhisteryzowaną reakcję uczuciową wobec popełnionego zła, ale o moc oczyszczającą. W Psalmie 51 mamy przecież obietnicę: „Sercem skruszonym i upokorzonym nie wzgardzisz, o Boże!”.

Poza zatem do najważniejszych czynności spowiadającego się należy samo wyznanie grzechów. Podejście do konfesjonału, gdy nie ma tłoku, stwarza szansę spokojniejszej i głębszej rozmowy ze spowiednikiem. Nie jest to co prawda najważniejsze - zawsze bowiem sam Jezus Chrystus będzie pierwszym partnerem dialogu - ale pozwoli przynajmniej uniknąć spięcia z przemęczonym i zdenerwowanym spowiednikiem. Warto również pokusić się nieco o zmniejszenie anonimowości. Wzajemna nieznajomość penitenta i kapłana stwarzają potrzebną dla niektórych osłonę, ale utrudniają efektywne spełnienie funkcji spowiednika. Ułatwia mi rozpoznanie „drugiej strony”, gdy słyszę po słowach staropolskiego pozdrowienia „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, krótką informację, np. „jestem studentem”, „małżonkiem”, „mam lat 23” itp. Ta mała „wizytówka”, jak ją nazywam, daje garść niezbędnych informacji, ułatwiających wzajemny dialog. Jeśli o tych wstępnych „grzecnościach”, dotyczących przedstawienia się, mało kto pamięta, to na ogół nieomal wszyscy wiedzą o konieczności podania daty (przynajmniej w przybliżeniu) ostatniej spowiedzi i jej ważności: czy nastąpiło rozgrzeszenie. Niekiedy ktoś zapomina o obowiązku odprawienia pokuty, należy wówczas ten fakt podać spowiednikowi. Informuje się też o ewentualnych przeszkodach w należywym wypełnieniu pokuty.

W samym wyznawaniu trzeba zachować umiar, mówić to, co konieczne: przede wszystkim grzechy śmiertelne, a później wybrane grzechy lekkie. Dla spowiedników kłopotliwi są skrupulaci, którzy wywlekają z przeszłości grzechy wątpliwe. Warto pamiętać, że należy spowiadać się ze złych czynów według oceny własnego sumienia. Ocena ta może nastąpić przed popełnieniem lub w czasie dokonywania grzechu. Biedni ludzie o przewrażliwionych sumieniach, słysząc jakieś kazanie, na którym ktoś długo i z „namiętym” zapalem analizował grzechy przeciwko szóstemu przykazaniu - zaczynają po kilkunastu latach rozdrapywać swoje sumienie: „a może wówczas popełniłem grzech ciężki?” Może! Ale to mało ważne, bo wówczas subiektywnie nie uważałem tego za tak wielkie zło, a więc nie mogłem popełnić subiektywnie grzechu śmiertelnego. Rozgrzebywanie sumienia najmniej jest potrzebne Bogu, który już dawno przebaczył. Przecież jest Sędzią, ale nade wszystko Najmiłosierniejszym Ojcem. Odnoszenie się do Niego jak do bezdusznego urzędnika jest przynajmniej nietaktowne, jeśli nie boleśnie obraźliwe. Szukanie w przeszłości jest szkodliwe dla samego penitenta. Może go sprowokować właśnie do nowego, już prawdziwego grzechu, a przy tym zasłania to, co istotne: konieczność kształtowania postawy autentycznego katolika.

Umiar należy zachować ponadto przy ujawnianiu okoliczności. Należy wymienić te, które wpływają na „jakość” grzechu. Najczęściej rozgadani penitenci popełniają grzech obmowy w czasie spowiedzi. Wyznając własne winy, ciężar gatunkowy oskarżenia przesuwają przez „projekcję” na wszystkich, tylko nie na siebie. Inni snują barwne opowieści z własnego lub cudzego życia. Chociaż bardzo mile słucha się ludzi z prawdziwą fantazją, spowiednik musi przerwać zdecydowanie i zwrócić uwagę, że w ten sposób spowiedź traci swój właściwy charakter samooskarżenia. Strata największa: penitent w zbyt szczegółowym opisie własnej biografii traci to, co decyduje o jakości wyznania - klimat żalu, skruchy. Następuje wówczas jedynie terapeutyczna ulga. Z jednej strony penitent powinien się niejako „przedstawić”, stracić coś ze swej anonimowości i podzielić się swoimi troskami i bólami z kimś, może jedynym bezinteresownie życzliwym. Ale czynić to tak, aby nie utracić istotnej

wartości. Nie należy w spowiedzi szukać za wszelką cenę ulgi. Może ona nadejść i często nadchodzi. Ale to nie jest najważniejsze! Niekiedy dla penitenta znacznie zdrowszy będzie niepokój, który pobudzi go wreszcie do twórczego wysiłku.

W chwili otrzymywania rozgrzeszenia starajmy się nigdy nie myśleć o tym, czy wszystko powiedziałem. Najlepiej jest zakończyć wyznanie słowami: „Za te wszystkie grzechy, które powiedziałem lub zapomniałem wyznać, żałuję i postanawiam poprawę”. Wyraziłem żal za wszystkie grzechy, nawet zapomniane, dlatego jestem spokojny. Teraz już się nie zastanawiam nad przeszłością. Nie mogę przeoczyć najcenniejszego momentu, gdy dzięki Krwi Chrystusa, przelanej na krzyżu, staję się znowu czysty i napełniony Łaską. Warto więc w tym momencie nie myśleć o własnych kłopotach i troskach, ale o bólu Jezusa. Niestety, wielu egocentryków w chwili rozgrzeszenia żałuje... siebie. Tylko siebie. Bo tylko siebie widzą.

Za granicą warto sobie przypomnieć, że chociaż nie znam języka danego kraju, mogę się spowiadać przed człowiekiem, który nie włada moim językiem. Może to odbyć się przez tłumacza. Na ogół jednak jest to zbyt krępujące i trudne. Dlatego wystarcza mój żal i jego okazanie. W podróżach na Wschód trzeba pamiętać, że mogę ważnie (jeśli nie ma w pobliżu kapłana katolickiego) spowiadać się w cerkwi prawosławnej. Po powrocie z zagranicznych peregrynacji często rodacy oskarżają się w konfesjonale, że nie byli w niedzielę w kościele. Ze zdziwieniem dowiadują się, że obowiązek uczestnictwa w liturgii można również wypełnić, z braku kościoła katolickiego, w każdej cerkwi. Przecież to jest nasz Kościół bratni, w którym w „inności” obrzędów liturgicznych dokonuje się ta sama, co w polskich kościołach, Bezkrwawa Ofiara. Różnice dogmatyczne pomiędzy rzymskim a wschodnim Kościołem nie mogą przesłonić tego samego Chrystusa, w tym samym kapłaństwie i sakramentach.

Trzecim z kolei istotnym momentem spowiedzi św. jest zadośćuczynienie, czyli jak mówimy, wypełnienie nałożonej pokuty. Uderza przede wszystkim nieproporcjonalność pomiędzy karą a winą. Ktoś popełnił poważne przekroczenie i otrzymuje śmiesznie niską pokutę sakramentalną. Istnieje dzisiaj na pewno jakaś nadmierna łagodność, ostrożność, „aby nie zrazić klienta”. W porównaniu z pierwszymi wiekami chrześcijaństwa wygląda to nawet na zbyt miękkość. Większy jednak błąd leży gdzie indziej. Księża operują schematycznymi pokutami, zazwyczaj nie wykraczającymi poza odmówienie modlitwy. Nie umniejszając wartości pokutnym modłom, wydaje się, iż karę należałoby bardziej dostosować do błędów, popełnianych przez spowiadającego się. Np. za niepohamowane wybuchy gniewu pokutujący powinien otrzymać polecenie zrobienia jakiejś przyjemności dla skrzywdzonych. A może najmniej infantylnie byłoby, gdyby sam penitent podał propozycję efektywnej (przecież on najlepiej zna siebie) własnej pokuty?

Uwzględniając nawet wielkość i odpowiedzialność zadośćuczynienia, trzeba zauważyć, że pokuta, nawet najsurowsza, nigdy nie będzie proporcjonalna do winy, a nawet nie powinna być taka.

Właśnie brak tych proporcji mówi nam o czymś. O czym? A właśnie o tym, że istotne zadośćuczynienie zostało dokonane przez Jezusa Chrystusa na krzyżu. Bracia protestanci mieli nam bardzo za złe, że w ogóle ośmieliliśmy się wprowadzić koncepcję satysfakcji. Na pewno mają rację, jeśli ktoś przesadnie przeceniając swoje zadośćuczynienie, zapomina o istotnym wyrównaniu naszej winy przez Boga. Natomiast ze względów pedagogicznych byłoby wielką stratą, gdyby winowajca na

sobie nie odczuł skutków popełnionego zła. Jest dla mnie przeżyciem, kiedy spowiadający "spiera się" ze mną, że otrzymał za małą pokutę. W tym człowieku jest (jeśli nie jest masochistą) poczucie prawdziwego żalu i autentyczna chęć odkupienia winy. Powinien jednak mieć zawsze świadomość, że nawet jego najcięższa pokuta jest zawsze współuczestnictwem w zbawczej mocy zadośćuczynienia, spełnionego na Golgocie.

Penitenci nie wiedzą, że mają prawo dyskusowania na temat wymierzonej kary. Oczywiście nie chodzi tu o sprzeczkę, ale o spokojne przedstawienie swych racji, dlaczego danej pokuty nie mogą przyjąć, co im przeszkadza w wypełnieniu takiego, a nie innego zadośćuczynienia. W uprawnieniu tym jest zawarta myśl, że należy jak najbardziej urealnić możliwość spełnienia zadośćuczynienia. Po zaakceptowaniu pokuty przez penitenta wzrasta jego odpowiedzialność za dokładne i właściwe wypełnienie pokuty. Niewykonanie otrzymanej kary (jeśli oczywiście zaistniały wszystkie warunki do jej zrealizowania, nic poważnego nie stanęło na przeszkodzie) może w konsekwencji spowodować nawet grzech.

Chrześcijaninowi, gdy wypełni pokutę, często wydaje się, że to już wszystko. Trzeba się jeszcze postarać o wynagrodzenie wyrządzonych szkód. Ponieważ wymaga tego prosta sprawiedliwość, dlatego czynność ta nosi jurydyczną nazwę „restytucji”. Nie tylko trzeba wyrównać straty materialne, które ktoś poniósł wskutek naszej niewłaściwej działalności (w tym sensie „wierzącemu” złodziejowi kradzież się nie opłaca, bo musi zwrócić skradzioną rzecz). Ponadto należy pamiętać o stratach w sferze duchowej. Jeśli kogoś „poniosło” i nastąpiło zniesławienie, oszczerstwo, należy teraz to sprostować, publicznie wyjaśnić. Gdyby ludzie na serio bardziej traktowali obowiązek wynagradzania szkód, na pewno byłiby ostrożniejsi w grzeszeniu.

W tym rozdziale akcentowaliśmy wielokrotnie sprawy istotne. Na koniec przypomnijmy pokrótce główne myśli. W sakramencie pokuty najważniejsze są trzy czynności penitenta: żal, wyznanie, zadośćuczynienie. Ponieważ w pewnych okolicznościach, np. za granicą lub w wypadku penitenta głuchego, albo w sytuacji katastrofy, gdy z braku czasu udziela się rozgrzeszenia zbiorowego, nie dochodzi do wyznania grzechów, wynika z tego, że nie jest to czynność najistotniejsza. Podobnie jest i z pokutą - zadośćuczynieniem. Niekiedy biedny zagoniony grzesznik odkłada ją na ostatnią chwilę, i tej ostatniej chwili nagle mu zabraknie, a pomimo to sakrament nie stracił swej ważności. Z tego jeszcze raz wynika, że najważniejsza jest skrucha. Czy jednak rzeczywiście nie ma nic ponadto jeszcze istotniejszego? Do niedawna i ja myślałem, że nic nie ma ważniejszego. Dopiero znany współczesny teolog, Bernard Häring, przypomniał mi to najważniejsze: „najważniejsze jest to, czego dokonuje Zbawiciel. On oczyszcza naszą duszę, Boskie działanie pojednawcze jest tym najważniejszym. Dlatego najpiękniejszą nazwą sakramentu pokuty jest POJEDNANIE”.

KOMU MOŻE ZASZKODZIĆ STAŁY SPOWIEDNIK?

Zanim wyjaśnimy, co rozumie się przez określenie „stały spowiednik”, trzeba sobie szczerze powiedzieć, co o spowiednikach w ogóle sądzi młodzież. Nie tylko o stałych, ale o wszystkich.

W duszpasterstwie akademickim rozmawiamy, dyskutujemy o wielu sprawach. Kiedyś podjęliśmy temat dotyczący spowiedników. Temat – „rzeka”! Płynęło wiele pozytywnych uwag. Były wyrazy uznania za bezimienny, bezinteresowny trud, ale - jak to u młodych - przeważały głosy krytyczne. Pod koniec rozmowy, która zresztą przerodziła się w kłótnię, zaproponowałem „miniankietę” na temat: „Błędy i niedociągnięcia naszych spowiedników”.

Najczęściej występującym zarzutem był schematyzm. Oto jedna z charakterystycznych wypowiedzi: „Zdarza się często, że kapłan, spowiadając liczne tłumy wiernych, znużony wysłuchiwaniami tych samych grzechów, nie indywidualizuje, ale udziela tych samych wskazówek i nauk bez względu na to, czy w danym przypadku, tzn. w stosunku do tej osoby, są wskazane i potrzebne. Staje się to w końcu nużące i odchodzimy bez zadowolenia, bo nasze wątpliwości i ciężar grzechów jakoś jeszcze na nas ciąży. Po takiej spowiedzi często nie mamy odwagi przystąpić do Komunii św.”

Młodzież boli również brak zrozumienia u kapłanów; pisze ona: „Często spowiednik nie potrafi uchwycić problemu, zbacza z tematu”. Wiąże się z tym zarzut lekceważenia trudności, zwłaszcza w dziedzinie wiary. Jedna ze studentek skarży się: „Powiedziałam kiedyś podczas spowiedzi, że często mam wątpliwości. Ksiądz odpowiedział, że mam tyle dowodów na istnienie Boga, że nie powinnam mieć wątpliwości, i na tym koniec. Nie zapytał mnie nawet, o jakie wątpliwości chodzi”. A jeśli już spowiednicy starają się odpowiedzieć na problemy młodych, to niektórzy z respondentów stwierdzają niewłaściwość i niewystarczalność argumentacji. Tak pisze jeden z nich: „Gdy raz wyraziłem wątpliwości w sprawach wiary - spowiednik zaczął mi wyklądać tzw. zakład Pascala. W momencie, gdy mu przerwałem pytaniem: *Chodzi księdzu o zakład Pascala?* - zmieszał się i okazało się, że ma braki w przygotowaniu nawet w zakresie filozofii chrześcijańskiej”. W dziedzinie seksualnej razi młodzież nietaktowność niektórych księży, wyrażająca się w stawianiu niepotrzebnych zbyt szczegółowych pytań. Młodych uderza również niemile przesadny akcent „ilościowy” u spowiedników. „Wydaje mi się - czytamy w jednej z ankiet - że pytania o dokładną ilość popełnianych grzechów mijają się z celem i bardzo krępują ze względu na to, iż i tak najczęściej dokładnie nie pamiętamy tego i obawiamy się, by nie popełnić grzechu na spowiedzi przez kłamstwo albo usiłujemy zbyt długo to sobie przypominać. Wydaje się, że określenie *około x razy* jest o wiele lepsze i jeśli ta liczba jest potrzebna, to chyba wystarczy przybliżenie”. Do błędów, popełnianych przez spowiedników, zalicza się również zbyt ni pośpiech. Z kolejnej wypowiedzi dowiadujemy się, że „odbiera się spowiedzi charakter mistyczny, podniosły, co z natury rzeczy ma miejsce w czasie rekolekcji, odpustów itd. Systemem taśmowym każdy przykłęka na parę minut, wyszepce i już!

Odchodzi oczyszczony. Czy naprawdę? Kapłan - nie wątpię - modli się gorąco, ale czy ta druga strona, klęcząca u konfesjonalu, też to robi szczerze? Spowiedzi sprzyja spokój i cisza, a nie pośpiech". W młodych ludziach dojrzewa pragnienie czegoś głębszego. Nie tylko razi ich szablon, banał „zawsze takiej samej pokuty”, ale dodają: „pokutą nie jest np. dwukrotne odmówienie Litanii do Wszystkich Świętych. To kpina, a nie pokuta! Pokuta nie może być wymierna w słowach litanii. To ma być pokuta wnętrza człowieka”.

Studenci nie ograniczyli się tylko do krytyki. Przytoczymy tutaj dwie wypowiedzi, postulujące warunki, zdaniem respondentów, właściwej spowiedzi. „Dobra spowiedź to przede wszystkim nawiązanie bliższego kontaktu spowiadającego się ze spowiednikiem. Zadając odpowiednie pytania, można sobie wyrobić zdanie o penitencie, wyjaśnić wątpliwości o jego poziomie, a czasem nawet wskazać odpowiednią literaturę. Spowiedź będzie dobra, gdy znajdziemy wspólny język z kapłanem i nastąpi wzajemne zrozumienie”. Pragnienie pogłębionego kontaktu znajdujemy i w drugiej wypowiedzi: „Do spowiedzi wołałam iść do ojca zakonnego. Spowiedź była zawsze najbardziej uroczysta. To była wspólna spowiedź zanoszona do stóp Boga. W tej wędrownicy kapłan sprawował funkcję wyjednującego łaski dla mnie. Czułam, że oboje idziemy do Boga z tym balastem grzechów i że spowiednik wstawi się za mną do Boga. Ksiądz natomiast, zwłaszcza w wieku podeszłym, słucha - przerywa, łaje, mruczy. Klęczę zalana wstydem, ale nie żalem i skrucą. A przecież nie o wstyd tutaj chodzi i to o *plaski* wstyd przed spowiednikiem. W swej wielkości sakrament pokuty ogranicza się do wyliczenia grzechów, przerywanego *potępieniami* i zadaniem pokuty. To nie jest spowiedź! To ma być wspólna spowiedź, głęboka i świadoma”.

Tyle młodzi „gniewni”. Można z nimi się trochę nie zgadzać, nie zawsze wina leży po stronie księży. Często wpływają na to warunki, a czasami sami penitenci, np. przez przystępowanie do sakramentu pojednania w momentach pośpiechu, tłoku. W tej ankiecie, która miała zresztą zawężony krąg respondentów i nie rościła pretensji do poważnych, naukowych badań, uderzyło mnie specjalnie jedno. Mam na myśli to poszukiwanie wzajemnego zrozumienia, kontaktu pomiędzy kapłanem a spowiadającym się. Uzyskanie wewnętrznej więzi, o którą tak młodym chodzi, jest utrudnione. Sytuację komplikuje anonimowość zarówno kapłana, jak i penitenta. Nie ułatwia kontaktu przypadkowość spotkania. Dodatkowym utrudnieniem przy dużej ilości spowiadających się jest gorączkowy pośpiech i zdenerwowanie.

Można ominąć te wszystkie przeszkody i wyjść naprzeciw pragnieniu ujawnionemu w ankiecie przez funkcję spowiednika stałego. Któż to jest ten spowiednik stały? Jest to po prostu kapłan, wybrany przez penitenta i w uzgodnionych terminach spowiadający go przez dłuższy okres. Dzięki dłuższemu kontaktowi ginie anonimowość, może powstać serdeczna więź wzajemnego poznania i zrozumienia. Ponadto powstaje coś znacznie ważniejszego. Poprzez częste spotkania w sakramencie pokuty istnieje możliwość wzrostu jakościowego samego procesu terapeutycznego. Istnieje tu analogia z leczeniem pacjenta. Nawet wybitny lekarz nie zawsze potrafi przy jednorazowym kontakcie skutecznie oddziaływać na chorego. Nie zna pacjenta. Mimo swej genialności i intuicji zawodowej często staje bezradny wobec trudnego przypadku. Natomiast lekarz średnio uzdolniony, przy częstych wizytach chorego, mając w dodatku kilkakrotnie powtórzone prześwietlenia, analizy, może skuteczniej pomóc cierpiącemu. W wypadku spowiednika, nawet doświadczony będzie miał trudny problem, gdy spotka skomplikowaną sytuację duchową w konfesjonale. Oczywiście różnica

w porównaniu z nieprzeciętnym eskulapem będzie zasadnicza. Kapłan w sakramencie pokuty dysponuje dodatkowym światłem, którego pozbawiony jest lekarz. Światło Ducha Świętego może niesłychanie ułatwić rozstrzygnięcie jakiegoś problemu przy spowiedzi św. Może, ale nie musi. I nierzadko zdarza się, iż spowiednik czuje, że pozostaje w absolutnej ciemności.

Stały spowiednik, podobnie jak stale leczący danego pacjenta medyk, ma do dyspozycji dodatkową znajomość penitenta, płynącą z częstego spotykania się. Nie chodzi tutaj jedynie o poznanie walorów i zalet, charakteru i osobowości tego drugiego człowieka. Znacznie cenniejsze jest odkrycie w nim kierunku działania Bożego. Znajomość wymagań, stawianych przez Chrystusa, decyduje o efektywnej pomocy stałego spowiednika. Bardzo często przychodzą do konfesjonałów duszpasterzy akademickich młodzi, pełni wewnętrznej udręki „na rozstajnych drogach”. Rozpoczęli studia, ale właściwie czują, że „to nie to”. Nie wiedzą, co ze sobą zrobić, dokąd iść. Zdarza się to i po dyplomie, już po kilku latach pracy. Nadchodzi chmura niepewności. Czy nadal ma tkwić za biurkiem, za stertą papierów? Czy do „końca świata” ma być zootechnikiem, budowląncem? Pojawiają się jakieś tajemne prądy, aspiracje. Chciałby poświęcić się ludziom całkowicie. Tej zupełności oddania nie widzi w dotychczasowym trybie swego życia „zjadacza chleba”. I zmęczony niepewnością, wyczerpany nerwowo idzie do spowiednika. Tymczasem tamten człowiek odczuwa ciężar odpowiedzialności podjęcia decyzji za penitenta. Przygniata go niejasność sytuacji. Nie rozumie wielu elementów. Boi się pozbawić społeczeństwo człowieka, który już wszedł w pracę, jest dobrym fachowcem. Jak bardzo rzadko może spowiednik powiedzieć zdecydowanie, jednoznacznie - idź, to Bóg cię powołuje. Miałem szczęście spotkać takiego kapłana. I do dzisiaj czuję gorącą wdzięczność za ułatwienie najważniejszej decyzji. Tylko że mój spowiednik nie był przypadkowy: to był spowiednik stały. Znał mnie. Miał odwagę powiedzenia mi najtrudniejszej prawdy. Spowiednik wybrany przez nas, po mniej więcej rocznym kontakcie ma możliwości rozpoznania sytuacji, ułatwienia wyboru. Nie należy jednak w pierwszej spowiedzi sugerować kapłanowi problematyki powołania. Dopiero po kilkunastu spowiedziach warto postawić decydujące pytanie. Oczywiście, odpowiedź ma zawsze charakter doradczy. Nikt nie może decydować o moim powołaniu. Decyzja ostateczna należy zawsze do mnie. I to jest najtrudniejsze, najboleśniej w „męce wyboru”. Ale i chyba najwspanialsze - bo to jest moja wolność. W miłości musi zawsze być wolność. Tak nas Bóg ukochał, że obdarzył nas swobodą decyzji ostatecznych. To jest wolność chwilami nie do wytrzymania. To jest straszliwy ciężar, który ludzie usiłują przerzucić na innych. Chociażby na stałego spowiednika.

Oprócz wytworzenia wewnętrznej więzi, wzajemnego „rozszyfrowania”, pomocy w podjęciu decyzji „ostatecznych”, spowiedź u wybranego kapłana ma jeszcze jeden walor: kontroli. Spowiedź św. to nie tylko rozliczenie się z Bogiem i ludźmi. To nie tylko dźwiganie się z jakiejś wady, to przede wszystkim szansa rozwoju. Przy sporadycznych kontaktach z sakramentem pokuty zapomina się o tej możliwości. Dopiero systematyczna spowiedź pod kierownictwem jednego kapłana stwarza warunki do realizacji rozwoju duchowego. Pewną rolę ma tutaj do odegrania czynnik kontroli. Stały spowiednik z życzliwością, a nawet często jak przyjaciel obserwuje zmagania, wysiłki penitenta. Nie tylko jest biernym obserwatorem, ale i stara się pomóc, ułatwić. Między innymi przez to, że pamięta, kim był spowiadający na początku, kim jest teraz, po kolejnych spowiedziach. Spowiednik stały dysponuje obiektywnym elementem porównawczym. Kontrola samego siebie, nawet przez częste rachunki sumienia, refleksje, zawsze grozi pewnym subiektywizmem. Mamy możliwość włączenia

spowiednika jako obiektywizującego doradcy. To jasne, że również, jak i my, omylnego. Lecz możliwość pomyłki zmniejsza dystans, obiektywizm układu.

W życiu wewnętrznym zdarzają się chwile klęsk i załamania. Wówczas okazuje się cenny walor spowiednika, który towarzyszy i w chwilach wzlotu, i upadku. Podtrzymanie psychiczne ze strony stałego spowiednika ma specjalną wagę ze względu na to, że ten człowiek nie ogranicza się do zdawkowych słów pociechy, lecz znając dobrze penitenta, może zastosować metody terapii psychicznej. Znając wewnętrzne możliwości penitenta, może pozwolić sobie na dość ryzykowne sposoby wydobywania z depresji, np. pozorne zlekceważenie trudności penitenta lub radykalne wstrząśnięcie jego psychiką.

Trochę śmieszą, a trochę smucą ludzie, którzy wybrali sobie przewodników duchowych, a w chwili popełnienia ciężkiego grzechu uciekają od stałego do przygodnego spowiednika. Śmiesz ta niezdrowa ambicja, aby stałemu powiernikowi pokazywać się tylko od najlepszej strony, na tle małych, codziennych grzeszków. Zasmuca natomiast strata szansy pokazania prawdziwego oblicza opiekunowi duchowemu. On powinien znać nie tylko małe defekty, ale i te ciężkie, śmiertelnie zagrażające życiu wewnętrznemu. Widząc tylko jeden aspekt, małego zła, nie może przewodnik właściwie prowadzić, bo nie zna dogłębnie penitenta. I stąd przy pokazywaniu się jedynie z dodatniej strony naraża się spowiadający na nieskuteczność kierownictwa duchowego. Przegrywa skutek próżności i braku cywilnej odwagi.

Wśród wartości, zachęcających do podjęcia próby znalezienia przewodnika duchowego, można wskazać jeszcze czynnik wstydu. Człowiek wstydzący się usiłuje coś ukryć. Tak chętnie chowamy swoje złe sprawy za osłonę anonimowości. Dlatego może nam odpowiadać słuszna zasada wolności wyboru spowiednika, surowo przestrzegana zgodnie z przepisami prawa kanonicznego. Korzystamy z wolności i „wybieramy” nie wybierając, tzn. idziemy do przypadkowo spotkanego księdza w danym kościele. Wolno nam, ale czy warto zawsze korzystać z tej wolności? Tracimy wiele możliwości, o których tu wspomniałem, a ponadto przegrywamy wychowawczą wartość wstydu. Jesteśmy na pewno skrępowani, gdy jeszcze raz idziemy do tego samego spowiednika z tymi samymi grzechami. Wstyd ujawniania powtarzanego zła można wykorzystać, kierując rozwojem własnej osobowości. Poczucie zażenowania: „co sobie pomyśli o mnie ten ksiądz?” może stać się również hamulcem.

Przy próbie określenia, kim jest stały spowiednik, wspomniałem, że jest to kapłan z wyboru. W jaki sposób znaleźć można przewodnika duchowego? Wielu chętnie skorzystałoby z możliwości regularnej spowiedzi, niestety twierdzą oni: „nie możemy znaleźć”. Na pewno spotkać dzisiaj właściwego przewodnika jest niezmiernie trudno. Niewielu kapłanów na tak poważną i absorbującą funkcję ma czas i siły. Wielu odmawia, bo czują się za słabi, oceniają ciężar wielkiej odpowiedzialności. Pomimo to, kierując się Ewangelią, w której powiedziano: „szukajcie, a znajdziecie”, należy przede wszystkim poszukiwania rozpocząć od modlitwy o znalezienie właściwego przewodnika. Modlitwa powinna nam towarzyszyć nie tylko w chwili wyboru, ale również i po znalezieniu spowiednika. Powinniśmy przed spowiedzią prosić o światło dla niego. Spowiednik również się modli, ale tutaj powinna nastąpić jakaś wspólnota, wzajemna modlitwa za siebie. To będzie pierwszy element więzi, nie tylko ludzkiej.

Jeżeli spowiadający się nawiąże kontakt duchowy z kapłanem, może przy końcu spowiedzi zapytać się: „czy ksiądz nie zechciałby zostać moim spowiednikiem?” Jak już wspomniano, może on z rozmaitych przyczyn, słusznych czy, niestety, niesłusznych, odmówić. Jeżeli się zgadza, warto od razu ustalić terminy następnych spotkań. W poszukiwaniach odpowiedniej osoby pomocne są wykazy dyżurów spowiednika, umieszczane w niektórych kościołach. Przy nazwisku podane są godziny stałego dyżuru i miejsce, w którym znajduje się dany konfesjonał. Optymalnym rozwiązaniem wydaje się umieszczenie ponadto odpowiednich tabliczek informacyjnych na samych konfesjonałach. Należy tylko żałować, iż jest tak jedynie w nielicznych kościołach.

Trudno tutaj ustalić ramy czasowych spotkań ze spowiednikiem. Są wypadki zagrożenia duchowego, w których niezmiernie pożyteczne, a nawet niekiedy wręcz konieczne będą spotkania częste, co tydzień lub dwa. Po pewnym czasie należy częstotliwość zmniejszyć. Kontakty comiesięczne są chyba najwłaściwsze. W miarę pogłębiania znajomości penitenta okazać się może potrzeba kontaktów poza konfesjonałem. W wypadku znacznego oddalenia kontakt może ułatwić korespondencja. Jednak należy pamiętać, że istota kierownictwa duchowego nie polega bynajmniej na długości listów, pisanych przez spowiednika lub otrzymywanych przez niego. Wartość kontaktu w normalnym układzie nie polega na mnożeniu spotkań, wydłużaniu czasu spowiedzi, ale na intensywnym przekazie istotnych wartości duchowych. Plagą naszych konfesjonałów są osoby o nadmiernym gadulstwie. Cenny czas spowiedzi potrafią zmarnotrawić na zupełnie niepotrzebne opowiadania o własnych przeżyciach i doznaniach, często nawet urojonych. Spowiednik musi wykazać tutaj dużo taktu i roztropności, aby wysłuchać tego, co konieczne, natomiast w sposób delikatny, ale i bezapelacyjny przerwać nie kończący się tok pustej narracji. Do sprostania temu trudnemu zadaniu trzeba dużo doświadczenia. Radzi się szukającym dobrego spowiednika, aby go znaleźli przede wszystkim wśród nieco starszych kapłanów. Nie oznacza to, że z wiekiem automatycznie nabywamy mądrości, ale odpowiednia liczba lat, spędzonych w konfesjonałach, gwarantuje na ogół (bo i tu mogą być wyjątki) konieczny zasób doświadczenia życiowego. Uchronić to może powstającą więź pomiędzy spowiednikiem a penitentką (rzadziej to grozi penitentom) od niebezpiecznego uzależnienia. Zdarza się bowiem, iż po wyjeździe kierownika duchowego całe życie wewnętrzne zostaje zburzone. Wszystko się wali, nie ma mowy, żeby ktoś inny mógł zastąpić nieobecnego, bo on był „jedyny”, „niezastąpiony”. Przesadne związanie personalne prowadzi do tego, że penitent przestaje się w ogóle spowiadać, a przynajmniej przez długi czas wstrzymuje się od sakramentu pokuty. Są to oczywiście wypadki skrajnego wypaczenia zdrowej koncepcji kierownictwa duchowego.

Na tym tle może warto określić, kim naprawdę stały spowiednik powinien być dla penitenta. Kilkakrotnie użyłem sformułowania: „przewodnik duchowy”. Dla turystów jest to określenie mówiące za siebie. Ponieważ to prowadzenie odbywa się na zasadzie wolnego wyboru z wielu kandydatur, jest tutaj coś z miłości, w której trzeba dokonać wyboru współpartnera. A ponieważ wybrany w warunkach wolności (ma prawo odmowy) akceptuje współpartnera, dlatego może jawić się w przewodnictwie duchowym przyjaźń. Wydaje mi się, że spowiednik powinien stać się dla penitenta przyjacielem w najlepszym tego słowa znaczeniu. Aby odsunąć wszelkie grożące w przyjaźni niebezpieczeństwa, między innymi nadmiernego przywiązania uczuciowego, spowiednik i jego współpartner powinni pamiętać, ku czemu zmierza przewodnictwo duchowe. Celem przewodnika jest doprowadzić do takiego etapu, w którym przewodnik staje się niepotrzebny. To jest coś z paradoksu

chrześcijaństwa: prowadzi się, aby przestać prowadzić. Dobry przewodnik, który staje się przyjacielem prowadzonego, dąży do jego usamodzielnienia. A nade wszystko pamięta, iż w chrześcijaństwie jest jedno najpotężniejsze światło: światło samego Ducha Świętego. Przewodnik powinien nauczyć penitenta korzystania z kierownictwa Ducha Świętego. Rozumiejąc w ten sposób funkcję przewodnika duchowego, nie ograniczamy jego kompetencji, ale wskazujemy na właściwe kierownictwo. Nie pozwalamy, aby przez duchowe prowadzenie rosły szeregi infantylnych penitentów. Może dlatego nie lubię, aby nazywano stałego spowiednika „kierownikiem duchowym”. Gdybyśmy o tym wszystkim pamiętali, uniknęlibyśmy wynaturzonych kierowników duchowych, którzy sprawują absolutną władzę nad duszami. Tacy zabraniają spowiedzi u innych kapłanów, zobowiązują do nieomal ślepego posłuszeństwa.

Radykalnym rozwiązaniem, uzdrowieniem sytuacji ewentualnego wypaczenia przewodnictwa duchowego będzie jak najspieszniesze odejście od niewłaściwego przewodnika. W jakich jeszcze wypadkach należy zmienić przewodnika duchowego? Zmiana jest konieczna, gdy istnieje brak zrozumienia wzajemnego, poczucie skrępowania do tego stopnia, że wstyd nam się przyznać spowiednikowi do pewnych rzeczy. Można również opuścić przewodnika, gdy od nas za mało wymaga. Byłoby jednak niepoważne dążenie do zmiany w sytuacji, gdy spowiednik dużo wymaga. Sam przewodnik może doradzić zmianę, gdy czuje, że jego wpływ jest znikomy i nie ma już nic więcej do przekazania. Przy wszelkich zmianach należy jednak pamiętać o zasadzie stałości przy przewodnictwie duchowym. Zmian nie należy dokonywać zbyt pochopnie, bo zanim dojdzie do głębszego poznania i wzajemnego zrozumienia, musi upłynąć dość dużo czasu. Systematyczna kontynuacja jest tutaj gwarantem powodzenia. Kapłan powinien zawsze pamiętać -- jak słusznie pisze o. Piotr Rostworowski - że „jest sługą, a nie panem i nie on dobiera sobie penitentów. A przede wszystkim nie powinien się usuwać, gdy praca jest uciążliwa i niewdzięczna” (*O kierownictwie duchowym*, Warszawa 1962).

Istnieje jeszcze jeden powód, skłaniający do odejścia od przewodnika duchowego. Jest nim nadmierne uczuciowe związanie. Należy jednak tutaj działać niezmiernie ostrożnie, bo problem przywiązania spowiadającego się do kapłana jest skomplikowany. Zdarzają się rozwiązania tej sytuacji zbyt radykalne przez całkowite zerwanie kontaktu. Zbytnią symplifikację takiej metody zauważyła św. Teresa, stwierdzając, iż przywiązanie do przewodnika jest rzeczą normalną, ponieważ przez niego otrzymuje się wielkie dobra duchowe. Walka więc przeciw wszelkiemu przywiązaniu jest pozbawiona słuszności, jednak trzeba mieć i to na uwadze, że poważne niebezpieczeństwo zagraża przewodnictwu ze strony niewłaściwego przywiązania. Na tym terenie szczególnie łatwo jest o złudzenie, że wszystko jest w porządku. Nie bagatelizując zatem zagrożenia, trzeba podkreślić rolę pominiętego przez zwolenników radykalnego „cięcia” elementu niezmiernie ważnego przy przewodnictwie duchowym. Jest nim pewna ewolucyjność postępu człowieka w rozwoju duchowym. Nie można od wszystkich wymagać jednakowego stopnia oderwania się, bo nie wszyscy są do tego przygotowani. W życiu wewnętrznym jest etap początkowy i faza dojrzałości. Na każdym etapie Bóg czegoś innego wymaga. Jeżeli na początku współpracy z przewodnikiem istnieje jakieś zbyt uczuciowe przywiązanie, to gdy praca wewnętrzna idzie w dobrym kierunku, jest szansa na stopniowe, powolne oczyszczenie. Należy zachować ostrożność, unikać słów i „klimatu” podtrzymujących tę uczuciowość i mogących zepchnąć ją jeszcze niżej, ale nie ma powodów do radykalnych rozwiązań.

Spowiednik stały może nie tylko skomplikować życie duchowe przez nieumiejętne rozegranie strefy powiązań uczuciowych, ale i przez nieznaną podstawową prawa psychologicznego o dążeniu do integracji wewnętrznej.

Człowiek składa się jakby z wielopoziomowych kręgów integracyjnych. W ciągu życia przechodzi przez stadia wielu dezintegracji pozytywnych -- o których na terenie polskim pisał wiele Kazimierz Dąbrowski - scalając swą osobowość na coraz wyższym poziomie. We wszystkich etapach tworzenia się procesu integracyjnego psychiki przewodnik duchowy może odegrać poważną rolę.

Pisząc o rozmaitych przeszkodach, trudnościach przy spowiedzi, chciałem być obiektywny i nie poprzestać jedynie na wyliczeniu walorów funkcji stałego spowiednika. Istnieje nadzieja, że czytelnik pomimo wszystkich niebezpieczeństw i „szkodliwości” zdobędzie się na odkrycie nowej dla siebie wartości, jaką jest spotkanie przyjaciela w konfesjonale.

RACHUNEK SUMIENIA

Rachunek sumienia może być przyczyną rozwoju duchowego, ale też klęski, może działać destrukcyjnie na skutek wielokrotnego powtarzania, gdyż wytarty schemat nie tylko nie ożywia duchowo, ale staje się fikcją. Dlatego z dużą obawą piszę o rachunku sumienia. Aby nie stał się on czynnikiem zniszczenia duchowego, należy z właściwym zrozumieniem przyjąć podane sugestie. Poszczególne elementy rachunku sumienia powinno traktować się jedynie jako czynniki, inspirujące głębszą refleksję. Warto stale pamiętać, że każdy rachunek jest inny, bo sytuacja jest inna. I to tropienie zmienności zdarzeń w świetle niezmiennych norm moralnych stanowi specyfikę „rozliczania” sumienia.

Dla dobrego przeprowadzenia rachunku sumienia potrzeba kilku przynajmniej elementów wstępnych, które teraz postaram się omówić.

AUTENTYZM

Przed przystąpieniem do wykrycia zła w sobie konieczne jest gorące wezwanie Ducha Świętego, Ducha Prawdy. Młodzi głośno żądają autentyzmu, ale niestety mówiącym z wielką pasją o prawdzie brakuje szczerości wobec samych siebie. W klimacie szerzącego się kłamstwa, w oszołamiającym tempie życia ludzie gubią autentyzm własnego wnętrza. Człowiek często nie wie, kim jest naprawdę. Gramy nie tylko wobec drugich, ale nawet wobec samych siebie. Maski są już tak przyrośnięte do twarzy, że trudno odróżnić, co jest pozorem, a co rzeczywistością. Rachunek sumienia to właśnie trud zdejmowania maski. Czy człowiek może w subiektywnej ocenie samego siebie być obiektywnym? Jest to możliwe jedynie w świetle samego Ducha Prawdy - obiektywnej i subiektywnej. Poza modlitwą-prośbą można w wymiarze doczesności pomóc sobie przez odniesienie swych problemów do czynnika obiektywizującego. Będzie to w rachunku sumienia świadomość obecności ludzi. Nie chodzi w tej chwili o naszych przyjaciół. Dużą pomocą mogą być właśnie ludzie nieżyczliwi dla nas, z którymi jesteśmy w konflikcie. Najlepiej tacy, wobec których postąpiliśmy niewłaściwie. Zastanawiając się nad sobą, usiłując wypracować autentyczną ocenę, warto często stawiać sobie pytanie: „A co by na to powiedział właśnie mój wróg X?” „Co by dodała pani Y, która jest tak cięta na mnie?” Wydaje mi się, że te opinie „niechętnych” są często bliższe prawdy niż oceny naszych przyjaciół. Ci ostatni boją się nam powiedzieć całą prawdę. Boją się utracić przyjaźń. Czy są prawdziwymi przyjaciółmi - to już inna sprawa.

W niezmiernie trudnym procesie zdobywania się na obiektywne spojrzenie na siebie wielce przydatne może być środowisko. Szczególnie przypominają mi się grupowe wędrowki. Mam na myśli trudne wędrowanie. Jeżeli spływ kajakowy - to nie spokojną, łagodną Czarną Hańczę, ale np. Pasłęką lub Łupawą - rzekami o silnym spadku wody i szybkim prądzie, na których łatwo o wywrócenie kajaka. Po takiej wywrotce trzeba wszystko suszyć przy ognisku, po to, by w dniu następnym

powtórzyć te same przygody kajakowe. Podobne przeżycia czekają nas na niektórych szlakach górskich, gdy z malowniczej ścieżki o wytyczonym szlaku schodzimy z trasy i nagle „spadamy” w dół na łeb na szyję przez gałęzie drzew, krzewy i głązy. Teraz trzeba odpocząć po to, by jutro przeżyć to wszystko jeszcze raz, dobrowolnie narazić się na taką samą przygodę. Ale właśnie wspólne przeżywanie „zwariowanej” wyprawy ujawnia różne postawy jej uczestników. Jeśli wyprawa była naprawdę udana i wszyscy zżyli się, dojrżeli - na skutek wspólnie przebytych trudów - do powiedzenia sobie prawdy, na końcu, na jakiejś polance, prawda, nawet ta trudna, jest sobie wzajemnie przekazywana. W godzinie szczerości powstałej nie na rozkaz, ale spontanicznie, z potrzeby serc, można dowiedzieć się wielu ciekawych, dobrych i przykrych rzeczy o sobie. Najważniejsze, że jest to prawdziwe, podpatrzone na trasie, która obnaża człowieka. A znam pary, które po takim wspólnym „rachunku sumienia” rozstały się na zawsze. Na całe szczęście, bo w mieście, w cieplarnianych warunkach wydawało się narzeczonym, że znają siebie. Gdyby rozpoczęli wspólne życie tak niedobrani, ich wędrowanie szybko skończyłoby się katastrofą. Test próby wspólnego życia na trudnym szlaku pomógł w odnalezieniu autentycznej oceny.

BEZPOŚREDNIOŚĆ

Jest to drugi element dobrego rachunku sumienia. Bezpośredniość polega na stworzeniu odpowiedniego klimatu, bowiem chodzi o to, by odejść od atmosfery suchego rozliczania lub wnikliwej intelektualnej analizy. Na pewno wielkim ułatwieniem będzie duch modlitwy, poprzedzający rachunek sumienia i towarzyszący mu. Najważniejsze jednak jest uzyskanie kontaktu z samym Jezusem Chrystusem, który własną krwią wyzwolił nas z grzechów. Żywa świadomość Odkupienia przez krwawą Mękę może nas popchnąć do bezpośredniej myśli, skierowanej do Chrystusa, np. „Jezu, zgrzeszyłem przeciw Tobie kłamstwem”. A może jeszcze inaczej: „Chryste, przebacz mi częste opuszczenie Ciebie w modlitwie”. Są to tylko przykłady. Tu nie może być szablonów. W rachunku sumienia pod wpływem impulsu wiary i miłości powstaje zwrot wewnętrzny, spontaniczny, niepowtarzalny. Rachunek sumienia przestaje wówczas być szablonowy, staje się czymś bardzo intymnym, bezpośrednim. W ten sposób następuje doskonałe przygotowanie żalu, tak potrzebnego przy samej spowiedzi.

REGULARNOŚĆ

Regularność, będąca cechą dobrego rachunku sumienia, wymaga częstego jego dokonywania. Idealem byłby tu codzienny rachunek sumienia, który najlepiej przygotowuje do rachunku przed spowiedzią. Biedni są grzesznicy, którzy po wielu latach usiłują obliczyć swoje grzechy i gubią się w historii własnego życia. Trudno im sobie przypomnieć wszystkie szczegóły, wymagane przy wyznawaniu ciężkich grzechów. Męczą się biedacy i są często bezradni, a przy tym gubią to najważniejsze: atmosferę żalu. Przypominanie sobie przeszłości przesłania im wszystko. Zupełnie inaczej podchodzą do rachunku sumienia ludzie, którzy częściej się spowiadają. Najłatwiej jest tym, którzy codziennie zastanawiają się nad swym życiem. Nie chodzi tu tylko o trening czysto mechaniczny, ale przede wszystkim o rozwój duchowy, dokonujący się poprzez impuls codziennej refleksji nad błędami i niedociągnięciami. Ponadto przez tę regularność uzyskuje się samokontrolę i zdolność całościowej oceny każdego dnia.

Codzienna refleksja nad przebiegiem dnia powinna towarzyszyć wieczornej modlitwie. Zamiast mechanicznego „klepania” rozmaitych „pobożności” (nie jest to atak na świadome i z żywą wiarą odmawianie znanych modlitw) lepiej w bezpośredni sposób przedstawić Jezusowi cały dzień. Nie warto tracić czasu na dokładną analizę. Znacznie skuteczniejsze byłoby poświęcenie czasu błędom podstawowym, najgroźniejszym i najczęściej występującym. Może to być jedna jedyna wada główna. W przypadku uporczywego powtarzania zła wskazane jest, by zakończyć codzienny rachunek sumienia równie uporczywą modlitwą o pomoc w walce z tą wadą. Intensywność prośby ma wpływ na lepsze przeżycie dnia następnego. Przekonało się o tym wielu tych, którzy potrafili przekształcić codzienny rachunek sumienia w modlitwę; nie tylko błagalną, lecz i dziękczynną za wszystkie zwycięstwa nad złem. A stąd już blisko do modlitwy chwały!

SKUTECZNOŚĆ

To czwarta cecha dobrego rachunku sumienia, bo jeśli rachunek sumienia ma być dobry, powinien być efektywny. Skuteczność jest tutaj rozumiana w sensie wewnętrznym, chodzi bowiem o rozwój duchowy.

Aby rachunki sumienia pomagały we wzbogacaniu osobowości, muszą zawierać również element pozytywny. Nie mogą być jedynie bilansem klęsk i strat. Powinno się zauważyć dobro i piękno, które nas spotkało. Nad ciemną strefą grzechu, by nas nie przygniół, musi wyrastać nasz dobry czyn. Trzeba umieć dostrzec i z wdzięcznością dla Boga, starannie odnotować. Dla poprawienia skuteczności samowychowania należy uchwycić nie tylko główny kierunek zła, ale i tendencje rozwojowe dobra. Z tego powinny płynąć wnioski programowe, przekraczające zakres jednego dnia czy miesiąca. Planowanie jest niesłychanie ważne w przypadku popełniania tych samych grzechów. Trzeba już w rachunku sumienia, nie czekając na sakrament pojednania, nakreślić perspektywiczny plan naprawy. Powinien on być w odróżnieniu od często nieumiejętnego planowania, które spotykamy w życiu codziennym, realistyczny i konkretny. W programie takim muszą być zawarte konkretne zamierzenia, prowadzące do wyjścia z kryzysu duchowego. W rachunku sumienia należy umieć przewidzieć przeszkody, jakie mogą się pojawić. Wszystkie okazje do powtórnego popadnięcia w grzech nie tylko należy „zobaczyć” w wyobraźni, ale i przygotować środki zaradcze, nie dopuszczające do zaistnienia zła.

W przypadku często powtarzających się niektórych grzechów o wymiarze społecznym, można przy rachunku sumienia powziąć decyzję ich ujawnienia wobec wspólnoty. Sytuację taką stwarza msza św., w której uczestniczy mała, żyta ze sobą grupa liturgiczna. Okazją może być wspólna modlitwa. W czasie aktu pokutnego, rozpoczynającego liturgię, korzystając z sugestii celebransa, można wyznać wobec wspólnoty swe winy popełniane wielokrotnie. Oprócz mobilizacji wewnętrznej „publicznego pokutnika” duże znaczenie ma siła wspólnej, oczyszczającej modlitwy oraz uwrażliwienie zespołu na pomoc braterską, której w życiu wspólnoty oczekuje „pokutnik”. Oczywiście tego rodzaju wystąpienia należy przemyśleć w trakcie rachunku sumienia. Publiczne wyznanie winy na nie przygotowanym terenie liturgicznym, bez życzliwej atmosfery wspólnoty, może przynieść zamiast pomocy opłakane skutki. Nie trzeba dodawać, że do zastosowania tak specyficznej metody nie wszyscy posiadają odpowiednie predyspozycje psychiczne i... odwagę. Przyniesie to jednak wielką korzyść tym, którzy w rachunku sumienia podjęli trudną decyzję wychodzenia ze zła właśnie w ten sposób.

W przypadkach niemal beznadziejnych, gdy w rachunkach sumienia powtarzają się te same błędy i grzechy, mogę polecić sposób wypróbowany przez naszych braci odłączonych. Wymaga on właściwie tylko jednego: żywej wiary. Basilea Schlink pisze w *Zwierciadle sumienia*: „Przez wzywianie krwi Chrystusowej zostałam uwolniona od łańcucha grzechów. Pismo Świąte mówi, że *krw Jezusa Chrystusa oczyszcza nas od wszelkiego grzechu* (1 J 1,7). Jeżeli podczas sprawdzania naszego sumienia odkryjemy jakiś grzech, wtedy powinniśmy się unieżyć, a jeśli trzeba, to i wyznać go przed innymi. To łączyć się może tylko z wzywaniem odkupieńczej mocy krwi Jezusa. W wierze musimy oprzeć się na zwycięstwie Jezusa, na Jego odkupieniu. Musimy ogłaszać Jego zwycięstwo i wielbić Jego krew, która gładzi nasz grzech”.

Po przedstawieniu elementów, składających się na prawidłowy rachunek sumienia, można przystąpić do zagadnień bardziej szczegółowych, przedstawić konkretne pytania do takiego obrachunku duchowego. Pamiętając o poczynionych na wstępie zastrzeżeniach, dodać należy, iż analiza postępowania może być dokonana w rozmaitych aspektach, np. „mój stosunek do Boga, do drugiego człowieka” itp. Boję się jednak, że takie ujęcie wprowadza sztuczny podział w miłości, która może być tylko jedna, fałszywie separuje strefę „ziemską” i „boską”. Dlatego proponuję stawiać pytania dotyczące normalnego dnia „roboczego”. Ułatwi to zadanie tym, którzy chcieliby konsekwentnie realizować postulat "codzienności" rachunku sumienia.

Pierwsze pytanie o sam początek dnia: jaka była moja pierwsza myśl? Czy ogarnęła mnie rozpacz, że to jeszcze jeden trudny dzień? A może nawet, przerażonemu kłopotami, obowiązkami, nie chciało mi się już żyć? Mogło być inaczej: jeszcze na wpół przytomny usiłowałem skierować „półświadomość” do Chrystusa, który powinien być słońcem mojego życia. Czy powierzyłem Jemu właśnie ten źle zapowiadający się dzień? Czy oddałem się Bogu całkowicie - to znaczy przekazałem nie tylko cierpienia, ale i radości, które mogą nadejść zupełnie niespodziewanie? Czy rano pomyślałem, że dzisiaj mogę bardziej kochać Boga, znaczy to: spełniać Jego wolę, a tym samym lepiej służyć braciom? Czy wkraczałem w dzień chaotycznie, nie przygotowany, bez uświadomienia sobie tego, co może mnie dzisiaj spotkać? Mogłem inaczej rozpocząć dzień, mając w kalendarzyku, na kartce, wynotowane ważniejsze prace, zadania, spotkania, wykłady. Czy ja po prostu programuję dzień, czy on mnie zaskakuje, determinuje - odbiera resztki wolności? Wreszcie, czy przed wyjściem z domu zatrzymuję się, choć na chwilę, by dać się przeniknąć Bogu?

Czy idąc do pracy (na wykłady czy inne zajęcia), przygotowuję się duchowo? Czy proszę o błogosławieństwo nie tylko dla siebie, ale dla całego zespołu? Czy modlę się o to, aby było mniej napięć, więcej wzajemnego zrozumienia, solidarności? Czy proszę o bezkompromisowość, odwagę w walce o sprawiedliwość społeczną? A już po dojściu do pracy, czy zaczynam bezmyślnie, mechanicznie ją wykonywać, „byle do trzeciej”? Czy zastanawiałem się nad sensem pracy? A może poddawałem się bezsensowi? Czy potrafię modlić się pracą? Co to właściwie znaczy? Przecież nie chodzi o następne odklepywanie frazesów? Czy jest możliwe, intensywnie pracując, trwać w Obecności?

A teraz pytamy się o środowisko: czy jestem skłócony, czy wprowadzam pomimo wszystko pokój Boży? Czy znam współpracowników, czy nie traktuję ich jako zła koniecznego? A może po

prostu mi przeszkadzają w robieniu własnej kariery? Pytanie decydujące: czy przez drugiego człowieka widzę Chrystusa? Pytania o pomoc, miłosierdzie są właściwie zbyt proste, jeśli "dobrze widzę", to zobaczę, że dzisiaj mojego sąsiada nie ma, a jeżeli jest chory, odwiedzę go. Z problemem właściwego „widzenia” wiąże się pytanie o znajomość Pisma Świętego, czy np. znam opis Sądu Ostatecznego, zawarty w Ewangelii według św. Mateusza w rozdziale 25? Jeśli było pytanie o modlitwę w pracy, to niktaktem byłoby pytać się, czy czegoś nie wynoszę z miejsca pracy. Przecież człowiek modlący się to taki, który wszystko czyni w obecności Boga, a ponadto człowiek wiary, który wie, że rzecz skradzioną należy zwrócić. Powstaje jedynie pytanie o sens kradzieży, założony z rozgrzeszeniem obowiązek restytucji, a więc zwrotu rzeczy nieprawnie posiadanej.

Jestem już zmęczony zarówno tyloma pytaniami, jak i samą pracą. Jestem głodny, znudzony i zły. Właśnie w takim wściekłym nastroju wracam do domu. I tu przepraszam, ale jeszcze kilka pytań: przede wszystkim -- czy przygotowuję „powrót do domu”? Czy wracam zatruty zmęczeniem, kompletnie bezmyślnie? Jedynym moim marzeniem jest coś zjeść i wyciągnąć się w fotelu z gazetą w rękę. Mógłbym co prawda w modlitwie połączyć się ze św. Rodziną z Nazaretu i zapytać się: co to znaczy, że mam żonę, dzieci? Czy traktuję tych najbliższych mi ludzi gorzej niż kolegów z pracy? Czy moich bliskich nie traktuję zbyt instrumentalnie? Mają mi podać jedzenie (to żona - współpartner sakramentu) i dać... spokój, święty spokój (to dzieci - wynik świętego sakramentalnego związku)?

A jak wykorzystuję czas wolny? Czy umiem wypoczywać po intensywnej pracy? Czy dobrze rozumiem treść czynnego wypoczynku? Czy odprężenie nie jest dla mnie równoznaczne z rozprężeniem? Czy wakacje nie oznaczają dla mnie odpoczynku od Boga? Czy planuję wakacje rodzinne, czy tylko i wyłącznie dla siebie? Czy wycieczka nie polega głównie na picu mocnych trunków, czy ulegam zawsze naciskowi środowiska? Czy w czasie urlopu rozstaję się z poważną lekturą, czytaniem Pisma Świętego itp.? I jeszcze jedno pytanie: czy „seks” traktuję jako rozrywkę? Czy współpartner przeżyć erotycznych nie jest dla mnie tylko instrumentem odprężenia? Czy jest dla mnie czymś więcej? Czym, a może kim? Czy podczas pobytu poza rodziną, w sanatorium, na wyjazdach służbowych, nie uważam się za zwolnionego z sakramentu małżeństwa? A może będąc w tzw. „stanie wolnym”, planuję wypadki, wakacje „we dwoje” pod wspólnym namiotem? Nieśmiało przypominam wszystkim „odważnym” i nie widzącym tu zagrożenia, że według teologii moralnej samo świadome narażanie się na grzech ciężki (nawet bez dopełnienia) jest już grzechem ciężkim. I już końcowe „wakacyjne pytania”: czy potrafię się opalać na łące, gdy obok ludzie koszą i grabią siano? Czy zaproponowałem pomoc ludziom ciężko pracującym, czy uważam, że to mnie nic nie obchodzi, bo ja mam teraz moje wakacje, po mojej ciężkiej pracy? I pytania niemal głupiutkie: czy zrywałem kwiaty, żeby je za kilka minut wyrzucić, czy gasiłem dokładnie ognisko i czy puszczałem mój tranzystor na cały regulator w lesie, na szczytach gór? A może, wpatrzony w urzekające piękno Gorców, nie patrzyłem pod nogi i rozdeptywałem pracowite mrówki lub kolorową bożą krówkę? Znowu nieśmiało przypominam, że biedronki popularnie są zwane bożymi krówkami, są Bożymi stworzeniami tak jak i my, wspaniali, zdobywcy kosmosu. Martwiąc się o te małe krówki, nie można zapomnieć i o dużych krowach, koniach, czy ktoś ich nie krzywdzi - nie tylko w czasie wakacji? Przerazające jest to, że bite psy, koty i inne męczone zwierzęta nic nie mogą nam odpowiedzieć. Wstawi się za nimi dopiero Pan wszelkiego stworzenia, niestety już za późno, bo na Sądzie Ostatecznym.

Kończymy nasz pracowity dzień. Czy kończę go krótkim rachunkiem sumienia? Czy znajduję chwilę wieczornej ciszy, aby odczytać kilka kolejnych zdań Pisma Świętego i zapytać się Ducha Świętego, co mi chce przez to Słowo Boże przekazać? Czy ja dalej przekazuję w moim otoczeniu to, co zdobyłem od Boga i ludzi w ciągu dnia? Czy proszę o następny, lepszy dzień tylko dla siebie i swych najbliższych? Czy w modlitwie wieczornej wspominam tych, którzy nie doczekają następnego dnia? Czy pamiętam o tych, którzy nie mogą zasnąć, bo są bardzo chorzy lub torturowani, lub po prostu - głodni? Czy jestem wrażliwy na potrzeby całego Kościoła powszechnego - walczącego, cierpiącego? Mogę umrzeć tej nocy, czy wspominam w modlitwie tych, którzy mnie wyprzedzili? Czy aby nie zapomniałem podziękować za cały dzień, który był może męczącym, ale jednak był także darem Ojca?

Wśród wielu pytań nie postawiłem pytania o zabójstwo, o łamanie postu, o nieprzestrzeganie dnia świętego, rozwiązłość, samogwałt, sodomie i inne bezceństwa. Dlaczego? Przecież to na pewno ważne! - Niech nad przyczyną tego mego milczenia połamie sobie głowę anielsko cierpliwy Czytelnik. Autor zadaje na końcu rozdziału pytanie: czy zamiast mnóstwa szczegółowych problemów w rachunku sumienia nie należałoby umieścić tylko jednego istotnego pytania: czy mogę uczciwie odpowiedzieć: „tak” na żądanie samego Pana: „Będiesz miłował Pana, Boga twego, całym swoim sercem, całą swoją duszą, całym swoim umysłem i całą swoją mocą (...). Będiesz miłował swego bliźniego jak siebie samego” (Mk 12,30-31)?

